

# NASZE ŻYCIE

Cena 20 sant

...„Nie wierzę w szczęście, ale w silną wolę, wiedzę i moc. Ci, którzy cokolwiek rzeczywiście wielkiego uczynili, osiągnęli lub poszli naprzód — są tymi, którzy pracowali, czytali, uczyli się i myśleli trochę więcej niż to było potrzebne, ażeby móc zjeść i ubrać się“...

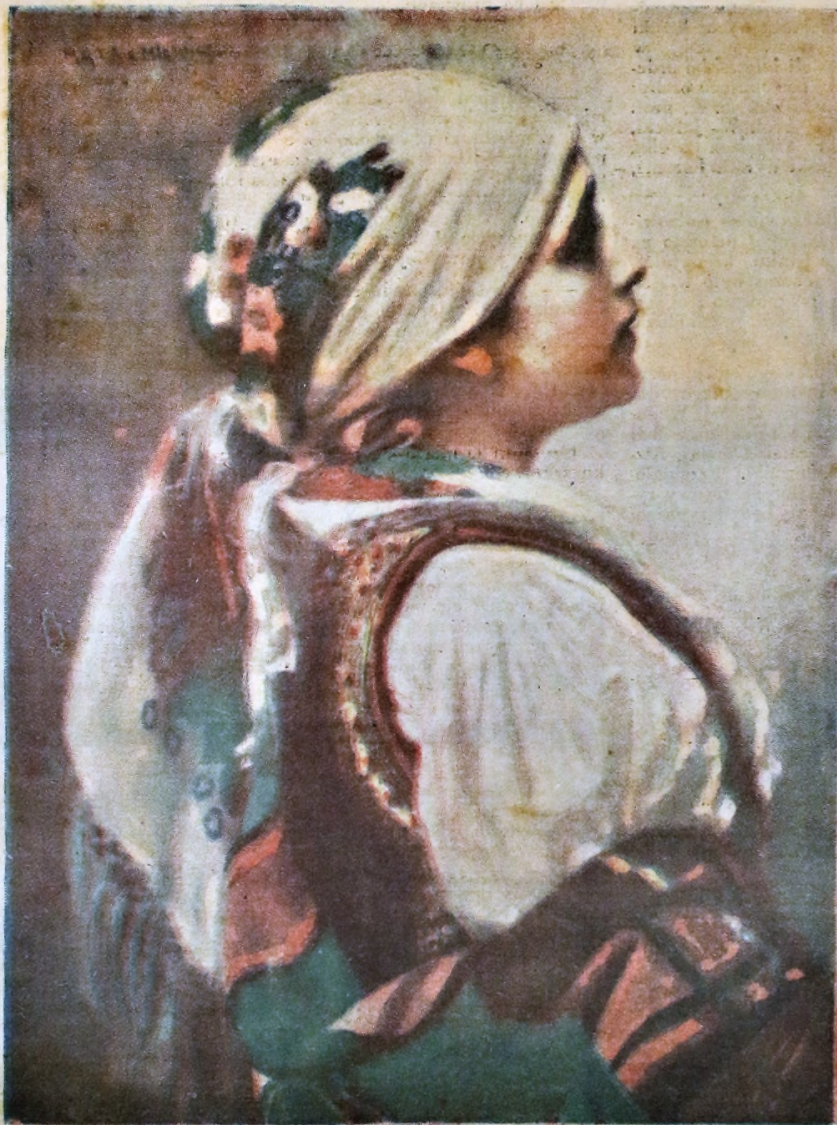
Dr. K. Ulmanis

**POLSKI TYGODNIK ILUSTROWANY**

Rok III

Ryga, 3 października 1937

№ 40 (146)



*Dziewczyna polska w stroju ludowym* Mal. P. Stachiewicz

# Kronika bieżąca

# TYDZIEŃ

— Na tegorocznych jesiennych manewrach sowieckich w Białorusi obecna była obok delegacji estońskiej i litewskiej delegacja lotewska z gen. Rozenstiejnem na czele.

— Minister Przemysłu i Handlu Rzeczypospolitej Polskiej Roman, jak donosi prasa, odwiedzi na początku października państwa Bałtyckie, a więc Estonię i Łotwę. Minister Roman przybędzie do państw Bałtyckich na statku „Cieszyn”, powróci natomiast do Polski koleją. Ministrowi towarzyszyć będzie w podróży dyrektor departamentu morskiego Możdżeński.

— Odznaczenia lotewskie dla polskich artystów i działaczy kulturalnych. Za zasługi na polu zblżenia kulturalnego polsko - lotewskiego w związku z organizacją wystaw reprezentacyjnych sztuki polskiej na Łotwie i sztuki polskiej w Rydze, odznaczeni zostali lotewskim ordensem „Irzecz Gwiazd” następujące osoby: pp. Aleksy Wdziękoński z M. S. Z., prof. Tadeusz Pruszkowski, prof. W. Jarecki, dyr. M. Treter, rektor Wojciech Weiss, prof. Ludomir Slendziński, dyr. St. Lorentz, dyr. Kramarezyk.

— Najbliższe Daugawpilsu uzdrowsko Meżciems (b. Pogulanka) przeszło na własność Lotewskiego banku kredytowego. Miasto, które dotychczas było właścicielem uzdrowiska, zrezygnowało z opieki nad nim, gdyż dalsza jego przebudowa kosztowałaby około 530.000 ls.

— Zarząd miejski Daugawpilsu przyjął ostatnio projekt budowy placu dla rewii wojskowych (między ulicami Wadonia, Rygas, Cietoksznia i Tałsu) oraz hal targowych (między ulicami: Dagdas, Aizsargu, Sakniu i Cietoksznia). Przebudowany również zostanie dotychczasowy rynek rybny, który nazwany będzie rynkiem Wiesurs'a. Rynek dla sprzedaży koni i siana nazwany zostanie rynkiem Ludowym.

— Kolejna wycieczka „Celtransu” do Polski wyruszy z Rygi 7. października b. r. rano, powróci zaś 14-go tegoż miesiąca wieczorem.

Wycieczka zwiedzi Katowice — Kraków — Warszawę — Wilno. Koszt udziału — Ls 115.— obejmują przejazd, paszport zagraniczny, wizę i hotel.

M. in. uczestnicy wycieczki będą obecni 10. października b. r. w Katowicach na meczu piłkarskim Polska — Łotwa.

— Przewiduje się niebawem otwarcie samolotowej komunikacji Daugawpils — Ryga.

— J. Sniedze, dyrektor rolniczego banku kredytowego, który ostatnio wrócił z Łatgalii udzielił prasie wywiadu, w którym m. in. podkreśla, że „wynaradawiani dotąd w okolicach Pilskałus, Bebrene i Swente przeważnie Białorusini podają się obecnie jako Łotysze, choć rozmawiają po rosyjsku”.

— Wielki proces agentów Kominternu w Łotwie.

W pierwszym dniu wielkiego procesu 33 członków tajnej organizacji komunistycznej, na czele której stał emisariusz sowiecki, niejaki Andrejs Abele, odczytano akt oskarżenia, z którego widać, że partia komunistyczna w Łotwie prowadziła za pieniądze obcego państwa zorganizowaną robotę podziemną, posiadała agentów wyszkolonych w ZSRR, 14 zakonspirowanych mieszkań, tajną krótkofalową stację nadawczą oraz drukarnię. Oskarżeni prowadzili propagandę wśród robotników i niezamożnej inteligencji. Policja znalazła obfite dowody rzeczowe m. in. zapasy paszportów z pieczętkami prefektury w Rydze i na prowincji.

## ...oświatowa

— Zamiast dotychczasowej polskiej miejskiej szkoły podstawowej w Jelgawie w b. r. szkolnym utworzono dwie klasy polskie przy III-ciej lotewskiej miejskiej szkole podstawowej (przy ul. Uzwaras 18). Zajęcia odbywają się po południu (od godz. 15). W klasach polskich pracują te same nauczycielki, które dotychczas pracowały w Jelgawskiej szkole polskiej.

— Jak się dowiadujemy od p. R. Ciesiulewicz, referenta polskich spraw oświatowych przy Min. Oświaty, Departament Szkolny Ministerstwa Oświaty przewidział udzielenie kredytów na wydanie brakujących czytanek polskich dla klas czwartej, piątej i szóstej polskich szkół podstawowych w Łotwie.

Czytanki te ukażą się jeszcze w b. roku szkolnym.

— Departament szkolny Ministerstwa Oświaty rozpoczął wydawanie nauczycielstwu nowych dyplomów nauczycielskich ze specjalnych przedmiotów, jak język lotewski, historia i geografia Łotwy, roboty ręczne etc. Nauczycielstwo polskie zainteresowane tą sprawą może się zwracać do referenta polskich spraw oświatowych przy ministerstwie Oświaty p. R. Ciesiulewicz.

## O wrażeniach z Łatgalii

— Popularny w Łotwie pisarz Adolf Erss, uwzględniający w swojej twórczości również problemy Łatgalii, napisał ostatnio w „Jaunakas Zinias” kilka artykułów, poświęconych wrażeniom z ostatniej podróży po najdalszych zakątkach tej części Łotwy, a zatytułowanych: „Wśród zrusyfikowanych Łotyszów” oraz „Łotysze mówiący po rosyjsku, modlący się po polsku i niewiedzący do jakiej narodowości należą”.

W tym ostatnim artykule znajdujemy kilka charakterystycznych ustępów następujących:

„W Istrze, Pustyniu i w Skajście mieszkają po rosyjsku mówiący Łotysze, którzy nazywają siebie tak samo dobrze Białorusinami jak i Polakami, — jak kiedy wypadnie. Ale czy się nazywają Białorusinami czy też Polakami — nie rozmawiają po polsku, choć czytają polskie książki do nabożeństwa (ani białoruskich ani rosyjskich księzek do nabożeństwa nie można tu utrzymać). W ostatnich czasach ci wahający się obywatele zaczęli powracać do narodowości swoich dziadów — do lotewkości.

Świadczą o tym następujące cyfry, które w swej książce cytuje V. Krasnais: W Pustynskim powiecie w r. 1920-ym za Łotyszów podano się 55 osób (prawdopodobnie utrudnicy państwowi), w 1950 — 941 i już w r. 1955 — 2,642; liczba Białorusinów odpowiednio zmniejszyła się z 2418 (w 1920 r.) do 1099 (w 1955 r.); tak samo ilość Polaków spadła z 1212 do 547. Ilość Łotyszów w powiecie Skaista wyniosła w r. 1920 — 2543, w 1955 — 5,964; liczba Białorusinów w tym samym czasie spadła z 3,165 do 105, a Polaków z 889 do 241. Podobny obraz widzimy również w powiecie Piedrujas”.

Dnia 27. września 1957 r. po długich i ciężkich cierpieniach  
opatrzone świętymi sakramentami zasnął w Paau

Ś. + P.

# Władysław Pożaryski

o czym zawiadamiają pograżeni w głębokim smutku

żona, córki i zięć

## Czy pamiętacie,

że obowiązkiem każdego Polaka jest zapisanie się na członka Polskiej Kasy Pogrzebowej w Rydze?

# W ŁOTWIE

Na froncie sportowym

## Święto sportu w Daugawpilsie

**IV-TE POWSZECHNE ŚWIĘTO SPORTOWE W DAUGAWPILSIE.** W dniach 24., 25. i 26. września odbyło się w Daugawpilsie wielkie Święto Sportowe, w którym wzięła udział młodzież szkolna, zorganizowana w klubach i stowarzyszeniach sportowych oraz renomowani i znani w całej Łotwie sportowcy.

Program święta poza szeregiem konkurencyj lekkoatletycznych objął bieg kolarski, podnoszenie ciężarów, pokazy gimnastyczne, demonstrację zręczności na koniu w wykonaniu starszych harcerzy oraz zawody jeździeckie z udziałem uczestników kursów jeździeckich miejscowego pułku jazdy.

Pierwsze dwa dni zawodów były poświęcone wstępnym rozgrywkom, a zwłaszcza przedbiegom, w których brały udział liczne sztafety daugawpilskich szkół powszechnych i średnich. Natomiast wszystkie zawody finałowe odbyły się w niedzielę. Pomimo późnego jesienno-zimowego terminu, pogoda sprzyjała tej ogromnej imprezie sportowej, co, w dużym stopniu, przyczyniło się do jej powodzenia i imponującej liczby widzów, obliczonej przez prasę ryską na 6 tysięcy, przez miejscową zaś — na 3 tysięcy.

Imponujący wypadek przemarszu sportowców ulicami Daugawpilsu. W marszu wzięło udział kilkaset młodzieży sportowej, wśród której również Związek Polskiej Młodzieży w Łotwie i „Harfa”.

Defiladę sportowców na boisku przyjął protektor święta — dowódca miejscowego garnizonu — generał Bach, który wygłosił krótkie przemówienie i wznosił okrzyki na cześć Prezydenta Państwa dr. K. ULMANISA, generała Bałodisa, wicepremiera i najwyższego kierownika sportu w Łotwie Skujenika oraz rządu, poczem odśpiewano hymn państwowy.

W loży gości honorowych byli obecni burmistrz Wolont, naczelnik powiatu Siław, prefekt Jansberg, prezes daugawpilskiego sądu okręgowego Kociń, konsul R. P. w Daugawpilsie Buynowski, konsul litewski Sawicki i inni.

Przebieg zawodów był bardzo absorbujący, organizacja pierwszorzędna, wyniki techniczne i sukcesy sportowe zupełnie zadawalniające, choć w niektórych dyscyplinach zawodnicy nie zdolali wykazać swych możliwości, z łatwością demonstrowanych na innych zawodach (np. w skoku w wyż osiągnięto zaledwo wysokości 160 cm.)

Sądzą, że szczegółowe zestawienie wyników technicznych święta mniej będzie interesowało ogół naszych Czytelników, należy jednak podkreślić, że polska młodzież sportowa, która wystąpiła na święcie, zaprezentowała się wcale dobrze, zdobywając szereg zaszczytnych miejsc.

Najlepszą sprinterką święta okazała się znana sportsmenka ZPM — p. Rudziowa, która bezapelacyjnie pobila swe najpoważniejsze konkurentki: Grinfeld (II państwowe gimnazjum) i Olszewską (18. pułk. ajsargów).

MODNIE I TANIO TYLKO W  
PRACOWNI KRAWCA

**D. MIŁASZA**

Ryga, Kalkin iela 21. m. 7-a.  
Tel. 33742

Porządne wykonanie

Ceny umiarkowane

ZAKŁAD FRYZJERSKI DAMSKI  
I MĘSKI

**Wincentego Karweckiego**

przy ul. Łączplesa Nr. 104.

UPRZEJMA OBSŁUGA.

NISKIE CENY

To są najważniejsze sukcesy młodzieży polskiej na IV. powszechnym Święcie sportu w Daugawpilsie, pomijając wyniki tych sportowców narodowości polskiej, którzy nie występują w barwach swych organizacji narodowych.

Zawody hippiczne, które odbyły się na zakończenie święta, spotkały się z głośną aprobatą publiczności.

Na zakończenie święta odbyła się wspólna herbatka dla zawodników oraz wieczór taneczny. (w)

— W niedzielę ubiegłą odbyła się w Rydze finałowa rozgrywka w piłce nożnej o puchar Prezydenta Państwa między drużynami RFK — US. Zespół US (studenci Uniwersytetu Lotewskiego) tym razem musiał ustąpić, przegrywając 0:2.

Puchar kapitanowi RFK (Ryskiego Futbolowego Klubu) Lidmanisowi wręczył Prezydent Państwa dr. K. ULMANIS, który, wraz z wicepremierem Skujenikiem i ministrem Spraw Społecznych A. Berzińszem, był obecny na zawodach.

— W Kownie ub. soboty i niedzieli odbyła się kolejna olimpiada sportowa z udziałem studentów Finlandii, Estonii, Łotwy i Litwy, na której pierwsze miejsce zdobyli (195 pkt.) Estończycy, drugie (121) — Łotysze, trzecie (90) — Litwini oraz czwarte (61) — Fińczycy, którzy przysłali tylko kilku zawodników.

Rudziowa też zajęła 2. miejsce w skoku w dal z wynikiem (4.56 m.) o jeden centymetr gorszym od zwyciężczyni Starosty (pułk ajsargów kolejowych). Prócz tego p. Rudziowa zdobyła pierwsze miejsce w trójboju, zbierając 16 punktów (za 1. miejsce liczono 6 punktów, za drugie 3 itd.), następną z kolei zawodniczką — Sprużewietę (12. pułk ajsargów) — zebrała 11 punktów, na 3. miejscu uplasowała się z 8 punktami Łorberga (lotewski sokół), której jednak przypadła przechodnia nagroda dla najlepszej trójboistki jako daugawpilszczance.

Poza tym ZPM uzyskało 2. miejsce w sztafecie pań 4x100, ustępując na 5 zespołów jedynie zespołowi 18. pułku ajsargów.

Zespół „Harfy” zdobył 1. miejsce i nagrodę przechodnią w sztafecie dla panów 4x100, po zdyskwalifikowaniu w przedbiegu silnej sztafety 18. pułku ajsargów z udziałem rekordysty latgalskiego Bilejczyka. Prócz tego zawodnik Harfy p. Bilewicz uzyskał 3. miejsce w skoku wwyż, zaś Szunejko — 3. miejsce w skoku w dal dla juniorów.

Dobrze zaprezentowali się pp. Proszko (Harfa) i Siniewicz (ZPM) w biegu na 1500 m., w którym startowali obok lotewskiego rekordysty Witola, Buceniaka i innych.

13. miejska szkoła powszechna (polska) wywalczyła 1. miejsce w sztafecie 10x50.

Nadestane

## Rejestracja obywateli polskich

— **OBWIESZCZENIE O ZGŁOSZENIU SIĘ DO PONOWNEJ REJESTRACJI OBYWATELI POLSKICH.** Na podstawie art. 25 ustawy o powszechnym obowiązku wojskowym (Dz. U. R. P. Nr. 60 z 1933 r.) oraz § 272 rozporządzenia wykonawczego do niej (Dz. U. R. P. Nr. 83 z r. 1934) — wzywa się do ponownej rejestracji obywateli polskich czasowo przebywających na Łotwie z wyjątkiem powiatów: Daugawpils, Rezeknes, Ludzas i Ilukstes, którzy w roku bieżącym ukończyli lub ukończą 20 lat życia oraz tych w wieku od 18—50, którzy dotychczas w ogóle nie uczynili zadość obowiązkowi zgłoszenia się do rejestracji ani za granicą ani w kraju.

Zgłoszenie się do rejestracji ma być dokonane osobiście lub pisemnie w ciągu miesiąca października lub listopada r. b. w Konsulacie R. P. w Rydze przy ul. Mednieku 6-b w godzinach od 10-ej do 13-ej.

Przy zgłoszeniu się osobiście należy w Konsulacie przedstawić:

- 1) metrykę urodzenia,
- 2) dowód stwierdzający miejsce zamieszkania w kraju (paszport, dowód osobisty i t. p.),
- 3) posiadane świadectwa szkolne lub uwierzytelnione odpisy.

- 4) dowody stwierdzające zawód lub zatrudnienie,
- 5) zaświadczenie o dokonanej rejestracji wojskowej.

W razie niemożności osobistego zgłoszenia się, należy w wyżej podanym czasie zgłoszenie uskutecznić pisemnie, wypełniając wojskową kartę rejestracyjną, którą można na żądanie otrzymać w Konsulacie lub przesłać do Konsulatu pisemne zgłoszenie, podając dokładnie i czytelnie: nazwisko i imię, datę urodzenia (dzień, miesiąc, rok), miejsce urodzenia (miejscowość, gmina, powiat), imiona rodziców i państwisko, narodowość, wyznanie, zawód, wykształcenie, stan cywilny i ewentualne kary sądowe (kiedy, za co i przez jaki sąd), kiedy i za jakimi dokumentami przybył za granicę, czy w kraju wymeldował się na wyjazd i w jakim celu, na jak długo przybył za granicę.

Do wypełnionej wojskowej karty rejestracyjnej lub do pisemnego zgłoszenia muszą być dołączone dokumenty wyszczególnione wyżej pod 1/ — 5/, a w przypadku niedokonania dotychczas zgłoszenia meldunkowego w Konsulacie, również potwierdzenie o wymeldowaniu się na wyjazd za granicę, otrzymane w kraju. Dokumenty te będą zwrócone. Kto nie posiada zaświadczenia o rejestracji wojskowej, powinien podać powody nie posiadania tego dokumentu.

Fakt zgłoszenia się do ponownej rejestracji będzie przez Konsulat potwierdzony bądź na zaświadczeniu o rejestracji bądź na oddzielnym zaświadczeniu. Potwierdzenie to jest dowodem stosunku do powszechnego obowiązku wojskowego.

W stosunku do osób, które nie zgłaszają się do ponownej rejestracji albo które nie zgłaszają się w wyznaczonym terminie, a zwłoki należyć nie usprawiedliwi, Konsulat będzie stosować sankcje, polegające na odmowie ulg i ułatwień, wchodzących w zakres swobodnej oceny Konsulatu, a związanych z pobytem tych osób za granicą.

W razie powrotu do kraju winni będą pociągani do odpowiedzialności karnej na podstawie art. 99 ustawy o powsz. obow. wojsk., przewidującego karę aresztu do 3 miesięcy i grzywny do 3000 zł. lub jedną z tych kar.

Konsulat R. P. w Rydze.

27. września 1937 r. spoczął w Bogu

ś. † P.

**Władysław Pożaryski**

Długoletni członek Rady Polskiego Stowarzyszenia Pożyczkowo-Oszczędnościowego

Rada i Zarząd Stowarzyszenia

27. września 1937 r. po ciężkich cierpieniach zmarł długoletni członek Polskiego Stow. „AUSZRA”

ś. † P.

**Władysław Pożaryski**

Wdzięczną pamięć o Zmarłym zachowa na zawsze

Zarząd St. „Auszra”

Listy z ZSRR

# „Czerwony car“ na Kremlu

Dostęp do władcy sowieckiej Rosji, tego najbardziej tajemniczego ze wszystkich współczesnych mężów stanu, jest dziś trudniejszy, niż kiedykolwiek dawniej. Od wybuchu obecnego przesilenia Stalin nie pokazuje się prawie nigdy publicznie\*). Większą część dnia spędza on w swoim biurze za wysokimi murami Kremla. Tylko czasem udaje się samochodem do wiejskiego mieszkania, położonego w odległości niewielu kilometrów od Moskwy. Kiedy przed dwoma laty bawiłem w Moskwie, widziałem Stalina trzykrotnie przejeżdżającego swym Lincolnem przez ulice. Tym razem nie spotkałem nikogo, kto by go w ciągu ostatnich kilku tygodni choć raz widział na publicznym miejscu. Niewątpliwie Stalin zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa grożących mu zamachów, zwłaszcza od czasu zamordowania starego druha partyjnego, Kirowa. Zamach na Kirowa wykazał, że nawet najwyżsi przedstawiciele reżimu sowieckiego są narażeni na polityczne zamachy.

Kiedy powrócili do Moskwy słynni rosyjscy lotnicy, zdobywcy rekordu światowego, przypuszczano powszechnie, że Stalin powita ich na dworcu. W dniu ich przyjazdu cała Moskwa była uroczystość i odświętnie udekorowana, papierowe chorągiewki powiewały ze wszystkich okien zupełnie na wzór amerykański (tylko że widniały na nich hasła antyfaszystowskie). Jedynie Stalin się nie zjawił. Przyjął on lotników później na prywatnej audiencji na Kremlu.

Kiedy Stalin opuszcza Kreml, strzegą go troskliwiej, niż któregośkolwiek innego naczelnika państwa w świecie. W nowym, wielkim samochodzie, zbudowanym w Rosji, przypomina typ Packarda lub Lincolna, z zielonymi bocznymi oknami, przejeżdża Stalin szybko przez ulice do swej podmiejskiej posiadłości. Drogi do niej strzegą dniem i nocą policjanci, rozstawieni w odstępach kilkusetmetrowych. Co piąty lub szósty słup telegraficzny zaopatrzony jest w aparat telefoniczny, który ułatwia stałe porozumienie ogniw tego łańcucha posterunków. Posterunki notują numery wszystkich przejeżdżających tamtędy samochodów. Ale nie na tym koniec. Po drodze tej patrolują stale samochody z nieumundurowanymi policjantami. Każdy wóz, który się zatrzymuje w drodze choćby na parę minut, ściąga na siebie niezwłocznie uwagę tych patrolujących samochodów. Jechałem pewnego razu tą drogą z moskiewskim korespondentem „United Press“. W pewnym momencie zatrzymaliśmy się na chwilę, aby stwierdzić, czy naszemu znajomemu, który jechał w następnym wozie, a któremu wydarzył się jakiś błąd w motorze, nie potrzeba naszej pomocy. Już w ciągu minuty zjawił się obok nas samochód z nieumundurowanymi aniołami stróżami i stał koło nas do półt. donieśliśmy nie odjechali w dalszą drogę.

Stalina mieszkanie podmiejskie strzeżoną jest przez troskliwie dobraną gwardię przyboczną, złożoną głównie z jego rodaków, Gruzinów i innych mieszkańców Kaukazu. Rozmaite oddziały tej gwardii strzegą też lasów otaczających dwór. Wszystkie kroki Stalina otoczone są ścisłą tajemnicą. Nawet członkowie rodziny i jego najbliżsi współpracownicy nie wiedzą często, gdzie on przebywa lub czy i kiedy uda się na jakieś zebranie. Nigdy też nie znajdzie się w prasie sowieckiej najmniejszej wzmianki o prywatnym życiu Stalina, jego żony i trojga dzieci. Pewien mój znajomy zabrał raz do swego samochodu, kiedy wracał z kortów tenisowych, jakiegoś młodego człowieka, z którym prowadził przez całą drogę ożywioną rozmowę. Po tym dopiero dowiedział się od swego nauczyciela gry tenisowej, że tym przypadkowym towarzyszem podróży był jeden z synów Stalina.

Spośród wszystkich szefów państw na całym świecie, prowadzi Stalin niewątpliwie najbardziej skromny tryb życia. W swoich trzech pokojach na Kremlu chodzi w zwyczajnej „rubaszce“, tj. bluzie w formie koszuli, bryczesach i butach z cholewami. Nie lubi potraw wybrednych, lepiej smakują mu pojedyncze, choć ciężkie dania, sporządzane według przepisów kuchni gruzińskiej. Zwykle gryzie niesoloną bułkę — jakie się zwykle piecze na Kaukazie — kiedy pracuje przy swym biurku albo kiedy przyjmuje gości. Dwanaście do szesnastu godzin dziennie spędza przy biurku, przeglądając stosy sprawozdań oraz omawiając ze swymi współpracownikami rozmaite sprawy.

„Mąż ze stali“ ma tylko kilku osobistych przy-

jaciół, między tymi Kaganowicza, z zawodu rybnarza, którego siostrę pojął za żonę. W ciągu niewielu godzin odpoczynku Stalin czyta, pali ulubioną fajkę, albo słucha arii, wygrywanych przez pianole. Wyjątkowo tylko, kiedy podejmuje dawnych przyjaciół w swoim domu, pije z nimi nieco kaukaskiego wina. Zwykle zaś unika alkoholu. Co do lektury, to obejmuje ona prawie wyłącznie dzieła Marksa i Lenina oraz literaturę zawodową o rolnictwie, przemyśle i innych podobnych tematach, związanych z jego publiczną pracą. Natomiast nigdy prawie nie czyta beletrystyki ani utworów tzw. literatury pięknej.

Stalin wyrzucił się wprawdzie pewnego razu, że nie lubi przesadnych pochwał w przemówieniach, gazetach i rezolucjach, ale zachował się biernie, kiedy na początku ostatniego przesilenia i później, hymny pochwalne dla niego jeszcze się spotęgowały i przybrały formę naprawde bizantyjską. Każda mowa, każda rezolucja jest też ozdobiona ornamentyką frazesów pełnych uniesień pod adresem „wielkiego, ukochanego i niezrównanego wodza“.

Inicjatywę ostatniej czystki przypisuje się pow-

# NA SZEROKI

szechnie Stalinowi. Zwłaszcza, o ile ona miała dotknąć tych, którzy dawniej utrzymywali jakiegokolwiek stosunki z Trockim. Jest jednak charakterystyczne, że przy osadzeniu Tuchaczewskiego i 7 współoskarżonych, prócz trzech zwykle urzędujących sędziów, powołano do kolegium sędziowskiego także wyższych wojskowych.

Przejęcia w związku z ostatnimi wypadkami nie pozostawiły — zdaje się — żadnych widocznych śladów na stanie nerwów Stalina. Ludzie z zagranicy, którzy mieli sposobność obserwować go na paradzie pierwszomajowej i na pokazach floty powietrznej w połowie sierpnia, nie zauważyli z odległości kilkudziesięciu metrów nawet przy pomocy lornetek najmniejszych oznak jakiegokolwiek szczególniejszego podniecenia. Nie też nie potwierdza powtarzających się stale plotek o chorobie Stalina.

Webb Miller

## Wieści z Polski

# Wojenka, wojenka!..

(Korespondencja własna)

Bydgoszcz, we wrześniu  
Wiele dni jesiennych przeżyła Bydgoszcz podczas swego prawie 600-letniego istnienia. Dni smutku i dni radości. Ale dzień 15-go września 1937 roku pozostanie na zawsze w pamięci jej mieszkańców. W dniu tym bowiem, szarym dniu jesiennym, witało społeczeństwo pomorskie powracające z manewrów Wojsko Polskie. Niezwykle to były manewry i niezwykle powitanie. Kwiat młodzieży polskiej, 50-tysięczna armia zjechała się z całej Polski na Pomorze, na wielkie manewry, którym patronował Wódz Naczelny, Marszałek Smigły-Rydz.

Ćwiczenia pomorskie budziły zainteresowanie całego Narodu. Ale nie tylko Polacy mieli przez parę dni zwrócone oczy na teren walk bezkrwawych. Manewry te wywołały wielkie zainteresowanie i zagranicy.

Państwa Bałtyckie (z wyjątkiem Litwy) podkreśliły mocno swe zainteresowanie. W manewrach wzięli udział szefowie sztabów Łotwy, Estonii i Finlandii. Szef sztabu generalnego Estonii gen. Reek wraz z szefem sztabu fiński gen. Oesch i szefem sztabu łotewskiego gen. Hartma-

nis'em uczestniczyli w towarzystwie szefa sztabu polskiego Stachewicza we wszystkich etapach manewrów.

Na zakończenie manewrów odbyła się wielka defilada w Bydgoszczy. 50 tysięcy żołnierzy przedefilowało przed swym ukochanym Wodzem, sygnując oczyma zgromadzonych tłumów swą tężyzną i dzielną postawą.

Bydgoszcz wystąpiła wspaniale. Doceniła należycie zaszczyt, jaki ją spotkał. Swą zwykłą krasę upiękzyła przepychem dekoracji. A w darze powracającemu z manewrów wojsku ofiarowała, co miała najdroższego: swe serce.

Żadne wspaniałego widoku tłumy mieszkańców i gości, z całej Polski na uroczystość tę przybyłych, poczęły zajmować „lepsze“ miejsca na ulicach miasta 15. ub. m. już od wczesnego rana. O godzinie 8-ej rano, na godzinę przed rozpoczęciem rewii, na trasie przemarszu wojsk tłum stał zwartą masą zajmując całą szerokość chodnika. Przejeść? — O wetknięciu szpilki nie było mowy! Mur nie do przebycia!..

Na parę minut przed dziewiątą przybył powitany Hymnem Narodowym i gromkim okrzykiem „Niech żyje!!!“ zebranej publiczności Marszałek



Ludność Bydgoszczy wita wojsko po manewrach

\*) Patrz poprzednie numery „Naszego Życia“ 88 i 89 ( str. 4).



Dział religijny

# Ewangelia na dwudziestą niedzielę po Zielonych Świątkach

ZAPISANA U SW. JANA W ROZDZ. 4, W. 46—53

Wówczas: Był pewien urzędnik dworu, którego syn chorował w Kafarnaum. Usłyszawszy, że Jezus przybywa z Judei do Galilei, udał się on do Niego z prośbą, aby wybrał się w drogę, i uleczył jego syna, bo zaczynał dogorywać. Ale Jezus rzekł doń: Jeżeli nie ujrzycie znaków i cudów, nie uwierzycie! Panie — mówi Mu ów urzędnik — wybierz się w drogę, nim umrze synaczek mój! Idź — rzecze mu Jezus — syn twój żyje! Uwierzył człowiek słowu, jakie mu dał Jezus, i poszedł. A gdy jeszcze był w drodze, zabiegli mu słudzy i donieśli, mówiąc, że syn jego żyje. Zapytał ich tedy o godzinę, w której mu się polepszyło. Wczoraj — odpowiedzieli mu — o godzinie siódmej opuściła go gorączka. Poznał zatem ojciec, że była to godzina, w której rzekł doń Jezus: „Syn twój żyje” — i uwierzył on sam i cały dom jego.

## NAUKA

Krzyż bardzo wielki zsyła ci Pan Bóg do domu, gdy ukochane dziecko chorobą nawiędza. Krzyża tego, jak widzisz z dzisiejszej ewangelii, nie szczędzi nawet dostojnym i bogatym rodzicom. Oto był onego czasu król niejaki, którego syn śmiertelnie zachorował. Ale choroba ta nie miała być ku śmierci. Przeciwnie, chorobę tę P. Bóg zesłał, by zdrowiem i życiem duszy obdarzyć i chorego i jego całą rodzinę...

...Od czegoś to, bracie, nad wiek spo-

ważniał, dlaczego tak wcześniej szron głowę Ci przyprószył? Dziś jeszcze na samo wspomnienie dreszcz Cię przenika — bo tak straszne były chwile, któreś przechodził! A jednak uznajesz, iż właśnie dzięki tym chwilom dziś inaczej, mądrzej, religijniej na świat patrzysz. Już lada drobnotka nie wytrąca Cię z równowagi. Serdeczniej, wdzięczniej i więcej bogobojnie przyjmujesz te radości, których Ci jeszcze życzą życie. Cierpienie to wielka i dobroczynna szkoła.

I cóż to czyni nieszczęśliwy ojciec, gdy

ani lekarze ani lekarstwa pomocy już nie przynoszą, gdy śmierć już do drzwi stuknąć zaczyna? W tej to ostatniej chwili zwraca się ku jednemu i najważniejszemu lekarzowi, zwraca się ku Jezusowi, który dopomóc pragnie i dopomóc umie nawet wtenczas, gdy inni lekarze bezradnie porzucają chorego. — „Panie przybywaj, pospieszaj, dopomóż, ratuj!” — oto takie niech będzie wołanie nasze w chwilach niebezpiecznych.

## I uwierzył sam i wszystek dom jego!

Jak to dobrze dla rodziny, gdy ojciec swej rodzinie przykładem własnym służyć może. Jak to błogo dla duszpasterza, gdy i królem i kapłanem i pasterzem rodziny jest sam ojciec w rodzinie!

— „Mamusiu”, odezwał się wczoraj mały Jędrus, „jak urosną to pewno stanę się modlić. Bo przecież tatuś już się nie modli!” Zasada przykładu może nigdzie tak silnie nie pociąga jak w życiu religijnym. Pamiętaj: Jakie drzewo, taki klin — jaki ojciec taki syn! Rozważcie to ojcowie!

François Mauriac

# Życie Jezusa

W tym samym nieledwie czasie udał się Jezus do Naim i oddał matce syna, którego straciła. Biedna wdowa nie zwywała go, o nic nie prosiła, nie był bowiem jeszcze zwyciężył śmierci. Zapewno wielu mówiło o nim: „Oczywiście, paralitycy, opętani... ile chcą! ale nie wskrzeszą nikogo...”

Ów cud rozniósł zapewne więcej sławę Jezusa, aniżeli wszystko czego do tej pory dokonał. Zaniepokoił zwłaszcza w otoczeniu Jana Chrzciciela kilku, którzy pozostali niechętni nowo-przybytemu. Ich mistrz, w lochu więziennym, gdzie go właśnie Herod wtrącił, był może również nie spokojny? Czy teraz nie zachwiał się w wierze? Jakie mogły być jego myśli, kiedy posyłał dwóch spośród swoich do Jezusa z zapytaniem: czy jest Tym, który miał przyjść, czy też należy czekać innego? Można uwierzyć w człowieka, potem zaś wątpić w niego dla jego niepojętego postępowania. Uczniowie Jana opowiadali swemu nauczycielowi, że Nazarejczyk je i pije z nierządnicami i poborcami, że nie zaprzecza temu oskarżeniu, raczej pwny się tym, i zabrania swoim pościć, wymawiając się iż „przyjaciele obłubieńca radują się dopóki obłubieniec jest z nimi, przyjdzie bowiem czas wyrzec się pożywienia i wina, kiedy obłubieniec będzie im odiyety...” Tego rodzaju mowy niepokoiły Jana Chrzciciela. A gdyby się był jednak pomylił! Gdyby głos posłyszany nie był głosem z nieba! Faryzeusze zaklinali się, że Jezus spełnia swoje cuda przez Belzebuba. Oskarżali go, że uwodzi dusze... i prawdą jest, że wprowadził najlepszych przyjaciół Jana... W samej rzeczy, co mówi ten Jezus o sobie? co powie o sobie wysłańcom Jana

Chrzciciela? Owe poselstwo, to próba na którą Poprzednik wystawia Baranka Bożego: nie może nie wierzyć w niego, ale niepokoi go postępowanie Jezusa; i chyba, nie mogąc rozbroić swych przyjaciół, prosił w tajemnicy: „Panie, sam oświeć tych spośród moich, którzy nie wierzą w Ciebie, których gorszy i wprawia w zakłopotanie sposób twego życia...”

Jezus pomnożył cuda w obecności obu wysłańców, potem im powiedział: „Idźcie i opowiedźcie Janowi coście słyszeli i widzieli: ślepi widzą, chromi chodzą, trędowaci bywają oczyszczeni, głusi słyszą, umarli powstają, ubogim opowiada się Ewangelia. Błogosławiony jest ten, kto się nie zgorszy ze mnie!”

Po ich odejściu Jezus mówił o Janie Chrzcicielu nie jak o przeciwniku „którego był miał”, ale jak o najbardziej tajemniczym z proroków, bo ten dziwny zwiastun nie należy do Królestwa: „najmniejszemu w Królestwie Bożym większy jest od Jana Chrzciciela.” To wielkie odarte drzewo wznosi się samotnie na pustyni: korzenie jego docierają do Starego Zakonu, a najwyższe gałęzie dotknęły ledwie Chrystusa, który mówi o nim bardziej z podziwem aniżeli z miłością. A przecie widzieli się, poznali; Bóg upokorzył się przed ostatnim ze swoich proroków, tylko nie było pomiędzy nimi połączenia, całkowitego zlania dwu serc; jak gdyby byli rozdzieleni, poza czasem i przestrzenią; on jest tym, który idzie naprzód, który nie może ani czekać na Baranka, ani zawrócić z drogi. Poprzednik nie może iść za tym, którego wyprzedza. Płonie i spala się pomiędzy obu Testamentami.

Syna człowieczego drażnią żalę ucz-

niów Janowych dotyczące postu: można wejść do Królestwa przez śmiech albo przez łzy. Ale Żydzi nie chcą ani łez, ani śmiechu. Jeszcze dziś hymn świętego Franciszka z Assyżu do Słońca nie rozbija tych spośród nas, których odstręcza święty Jan od Krzyża.

„Z kimżeż więc mam porównać ludzi tego rodzaju? zapytuje Jezus. Do kogoż to są oni podobni? Podobni są do chłopiąt, co siedzą na rynku i do innych wołają słowami: Przygrywaliśmy wam na flecie — a nie tańczyście; nučiliśmy do płaczu — a wyście nie płakali. Albowiem przyszedł Jan Chrzciciel, który nie jadł chleba, ani nie pił wina. — a wy mówicie: „Czarta ma w sobie!” Przyszedł Syn człowieczy, który je i pije. — a wy mówicie: „Oto obżerca i pijak, przyjaciel celników i grzeszników!”

## UCZTA U SZYMONA

Syn człowieczy godził się jeść i pić z grzesznikami i nie wzdrażał się zasiadać u stołu faryzeusza jak ów Szymon, o którym wspomina tylko święty Łukasz. Szymon przyjmuje Nazarejczyka z ostrożnym poszanowaniem... Wystrzega się zbytniej uprzejmości, zbyt licznych starań, — aby móc później utrzymać, że przyjął Chrystusa jedynie przez ciekawość: jest tylko grzeszny, bez narzucania się, może nawet nieco chłodny...

Jeśli Jezus zasiada jednak przy tym stole, to dlatego, że od wieków widzi idącą ku sobie kobietę z naczyniem alabastrowym. Jedną spośród tysięcy innych, co hańbiła swoje ciało i serce, śmiertelnie cierpiąca dla istot śmiertelnych. Błądził poprzez Snyoptyków i czwartą Ewangeliją ze swoim wonnym olejkiem, swymi pięknymi włosami i twarzą zalaną łzami. W Ewangelii Łukasza wchodzi do domu faryzeusza, ale Mateusz i Marek wprowadzają grzesznicę w przeddzień Męki do drugiego Szymona zwanego Tredowatym, który mieszka w Betanii. Jan nazywa ją Marią. I jedni sądzą, że to owa Maria-Magdalena, z której Jezus wy-

Dlaczego — nie wiem, ale nie mieszkaliśmy długo w domku z ogródkiem. Pewno siostry starsze kończyły nauki, wracały z pensji do domu, mieszkanie musiało być większe. A może i dlatego, że nie było spokoju, odkąd doszły odgłosy o paleniu Ratusza, a jeden z uczestników tego czynu, Gustaw Eger, prosił o chwilowe schronienie w ogrodzie. Nazajutrz już nie był u nas. Przepadł.

— Ciągłe policja węszy, nie daje mi spokoju — opowiadała matka ciotkom i dziaduniowi. Nam, dzieciom strasznie było żal — zieleni.

Zamieszkaliśmy przy ulicy Białej, na parterze. W domu naszym zawsze bywało gwarno. Duże i małe dzieci, liczna rodzina i różnego wieku odwiedzający sprawiali, że zawsze jakby się coś u nas działo. Dzień jeden nie był podobny do drugiego. I teraz — jakieś widoczne smutne i straszne rzeczy przechodzili starsi, bo każde rozmowy najczęściej kończyły się łzami albo matki, albo wszystkich nawet tych, którzy przyszli nas odwiedzać. Okienne były zawsze szczelnie zamknięte z chwilą zapalenia światła. Rozmowy prowadzone szeptem.

Wuj od dawna przestał nas odwiedzać. Matka jednak widocznie go widywała, bo nieraz mówiła siostrzom starszym: „Józef kazał wam powiedzieć”, albo: „Józef był dziś bardzo znużony, nie mówił prawie nic, pytał tylko o zdrowie babuni.”

gnał siedmiu czartów, a inni, że to siostra Łazarza wskrzeszonego i Dary. Co nas to w gruncie rzeczy obchodzi? Kobieta owa tak uporczywie wruszała i przejmowała ludzkie serca, że powieść o jej geście mogła ulec odmiannom, najważniejsze jednak przetrwało; owo spotkanie wcielonej czystości i wcielonego grzechu na pociechę tym, co nie ustają w walce i wnoszą wytrwale wąż tam przeciwko niestrudzonemu przyplwom krwi i żądry.

Jezus leżał ze zgiętymi kolanami, bose stopy wysuwały się poza łożo. Grzesznica zbliżyła się od tyłu. Kobieta tak bardzo skalana nie śmie stanąć naprzeciw Baranka Bożego: „... i stanąwszy ze tyłu u nóg jego zaczęła łzami zlewać stopy jego i ścierać włosami swej głowy: całowała przy tym stopy jego i namaszczała wonnym olejkiem...”

Szymon, obserwując tę scenę, odetchnął z ulgą; sprawa była wygrana! Gdyby ów człowiek był prorokiem, to zetknięcie wywołaloby w nim dreszcz obrzydzenia.

„A Jezus rzekł do niego: „Szymonie, mam ci coś do powiedzenia.” On zaś odrzekł: „Mów, Mistrzu! „Pewien wierzytel miał dwóch dłużników; pierwszy był winien pięćset denarów, a drugi pięćdziesiąt. Gdy zaś nie mieli z czego oddać, podarował obydwo. Któryż więc będzie go więcej miłował?”

Odpowiadając Szymon rzekł: „Przypuszczam, że ten, któremu więcej podarował. A Jezus mu odrzekł: „Dobrze osądził.” I zwróciwszy się ku niewieście mówił do Szymona: „Widzisz tę niewieście? Wstąpiłem do domu twego, wody na nogi mi nie podałaś, — ona zaś łzami oblała me stopy, a włosami swymi otarła. Pocałunku mi nie dałaś, — ona zaś, zaledwie weszła, nie przestała stóp moich całować. Głowy mej nie namaściła oliwą; — ona zaś wonnym olejkiem namaściła me stopy. Dlatego powiadam ci: odpuszczone są liczne jej grzechy, bo wielce umiłowała; komu zaś

L. Kotarbińska

## Dziesiąty pawilon

Fragmenty wspomnień

Dzień był pogodny, rano byliśmy na spacerze z nianią, po południu miałam gdzieś jechać z matką i siostrami i bardzo się tym cieszyłam, choć na wszelkie pytania — dokąd i po co? — otrzymywałam odpowiedź: Dowiesz się jak pojedziemy.

Powóz widocznie był zamówiony, bo ciągle słyszałam obawy, czy aby się nie spóźni. Nie spóźnił się. O 4-cj po południu jechałyśmy długo, zdawało się — bez końca. Szerokie i wąskie ulice. Place obszerne i znów jakieś małe sklepiki. Narazcie już ani ulic, ani domów, ani sklepów. Pustka. Wały trawą porośnię. Jakaś budka w pasy malowana. Żołnierz przed bramą jakby skrytą między zielone okopy, przed którą zatrzymał się nasz powóz.

Żołnierz z karabinem o coś pytał. Matka coś mu odpowiadała. Drzwi ciężkie się otworzyły. Weszłyśmy. Tu jakaś inny wojskowy podszedł, znów o coś pytał. Matka pokazała jakąś kartkę, skinął na drugiego, coś mu mówił, ale nie nie rozumiałam. Ten wyprężył się, rękę podniósł do czapki, poszedł naprzód, a my, stosownie widać do objaśnienia, szłyśmy w ślad za nim.

mniej się odpuszcza, mniej miłuje.” Do niej zaś rzekł: „Odpuszczone są grzechy twoje.” Któż to jest ten co nawet grzechy odpuszcza?” On zaś rzekł do niewiasty: „Wiara twoja zbawiła cię, idź w pokój.”

Cuda już nie dziwiły Żydów, Jezus mnożył je, więc do nich przywykli. A poza tym nigdy niewiadomo: są chwytły, jest Belzebub, wszystko można wytłumaczyć. Ale proste słowo, twierdzenie? Czymże jest wskrzeszone ciało w porównaniu do duszy odrodzonej? Tym razem obojętne są Synowi Człowieczemu skryte myśli otaczających go serc, cały jest zwrócony ku biednej kobiecie we łzach, z jej pustym naczyniem i rozpuszczonymi włosami. Patrzy na to ciało, które runęło mu do nóg, ciało, którego dzieje zna, tę zbaczającą świętynię, gdzie przed chwilą Trójca obrala sobie mieszkanie.

Wszelako niechaj zatwardziali nie chępią się tym przykładem. Ta, której odpuszczono najwięcej, więcej miłuje. Miłość tej pokutnicy jest na miarę odpuszczonych zbrodni. Ale dla większości z nas niewdzięczność jest miarą naszych zbrodni, upadamy zaś tym niżej im wyżej wydzwignęło nas miłosierdzie. Gdyby jednak owa kobieta pewnego wieczoru miała ponownie ulec żądry... ją to właśnie ujrzymy powracającą z funtem wonnego olejku, w przeddzień męki i śmierci Jezusa, na to namaszczenie ostatnie, na ostatnie przebaczenie.

(DCN)

Nie dość jest pismo CZYTAĆ, trzeba je jeszcze ROZPOWSZECHNIĄĆ wśród swoich bliskich i znajomych oraz samemu PRENUMEROWAĆ (t. zn. płacić za jego otrzymywanie).

Pamiętaj, że miesięcznie (cztery ładne, ilustrowane i bogate w treści numery) „Nasze życie” kosztuje TYLKO 80 (osiemdziesiąt) santymów.

Znów otworzyły się drzwi i znalazłyśmy się w pokoju z zakratowanymi oknami, przedzielonym także żelaznymi kratami — pod sufitem. Wskazano nam drewnianą ławę, okalającą pokój. Żołnierz, prowadzący nas, odszedł. Zapominała cisza.

Naraz coś stuknęło, zgrzytnął klucz w zamku drzwi, będących za kratami, coś brzękło. Zobaczyłyśmy oficera, dwu żołnierzy z karabinami i wśród nich — wuja! Sami Moskale i wuj!

Boże, jakże mi to małe serduszko zaczęło kołatać. boć jeszcze świeże w pamięci były te naprawde baranie, te karabiny na sztych w każdym oknie naszego domostwa pod Przasnyszem, i ci kozacy, z moją ukochaną lalką — Zuzią — nadzianą na pikę i ojca, którego dawno nie było w domu, a którego szukali, zda się, w każdej szufladzie.

Oficer otworzył drzwi, dzielące kratą pokój, wprowadził wuja, cofnął się i... stanął do nas tyłem, co potem w domu opowiadano, że był to dowód jakiegoś sumienia, które się w nim ruszyło, a może wstyd za to, co robi.

To był nasz wuj, mój drogi wuj! Więc to on naprawdę w tej grubej, szarej kurcie, taki blady, taki wynędzniały.

— Tylko nie płaczcie, moje drogie, tylko nie płaczcie, proszę — mówił, ścisnąc ręce matki i siostr.

Mnie wzięła na kolana. Patrzałam mu w oczy. Po tem chwyciłam go oburącz za szyję i ja jedna przez chwilę płakałam.

— Co to — panienska wujka nie słucha?

Piąstką otarłam oczy i już tylko partryłam, trzymając go za szyję, potem ręce całowałam i tylko się do niego tuliłam a tuliłam. I właśnie w chwili, kiedy wuj mówi: a proś matkę, żeby mi cię jutro także przywiozła — a matka i siostry stały, jak skamieniałe, bez ruchu, ni słowa, drzwi te same, którymi wchodziliśmy, otworzyły się i weszła pani Jeziorańska z dwójkiem małych dzieci.

Dzieci były, jak dwa motylki, jasno ubrane, w słomkowych kapelusikach, niebieską opasanych wstążeczką.

Drzwi wewnętrzne znów zgrzytnęły, znów oficer wprowadził więźnia, do którego zaraz garnęły się dzieci i żona, a który mówił.

— A przyslij mi, kochana, ten nowy kapelusz — na jutro. Chcę ładnie wyglądać na tym spacerze.

Któs załkał głośno. Jednocześnie wszedł ten sam oficer, który ciągle tyłem był obrócony i oznajmił, że nasze „widzenie” już skończone. Wtedy matka spytała, czy może zezwolić na odprowadzenie wuja do drzwi więzienia. Zgodził się. Wyszliśmy razem na dziedziniec, brukowany, jak mi się wtedy zdawało, jakimś olbrzymimi kamieniami, szliśmy do wielkiej wnęki bramy — bez wrót, na końcu, bardzo głęboko i daleko, już ginąc w półmroku, była żelazna poręcz.

Na progu tego wysokiego i głębokiego sklepienia oficer nas zatrzymał.

Wuj nas jeszcze obejmował uściskiem. Przeżegnał. I już szedł sam.

Szedł wolno do żelaznej poręczy. Na

pierwszym stopniu, idącym w dół — do kazamat, co mi w domu powiedziano, jeszcze stanął. Jeszcze nas krzyżem zegnał i już widziałyśmy go schodzącego gdzieś w jakąś ciemną dal, już tylko w połowie, i jeszcze mniej, i mniej, aż nareszcie już tylko samą rękę, dłoń i już nie. Prócz ciszy i milczenia.

Dzień był pogodny — godziny poranne. Zajechał znów powóz przed nasze mieszkanie na Białej. Znów wsiadła matka, dwie starsze siostry i ja. Bo nie tylko życzył sobie tego wczoraj wuj, Józef Toczyski, w Dziesiątym Pawilonie, ale i ojciec, będący na emigracji, pisał z Paryża: „Na egzekucję weź dzieci, które umieją odróżnić białe od czarnego, żeby się uczyły nienawidzić Moskala”, co matka głośno czytała przy nas dziaduniowi.

Siostry i matka były całe w czerni. Powóz nasz stanął za innymi, w miejscu, przeznaczonym dla rodzin skazańców. Stały one po prawej stronie drogi, wiodącej z Cytadeli, tej samej, która istnieje do dziś — na miejscu egzekucji, szeregiem, jedno za drugim.

Olbrzymi plac, zaczęły jechać wózki. Na każdym z nich jechał ksiądz-kapucyn, w podniesionej ręce trzymając czarny, hebanowy krzyż z białym na nim, z kości słoniowej, Chrystusem. Obok niego skazaniec. Było ich pięciu: Romuald Traugutt, Józef Toczyski, Roman Żuliński, Jan Jezorański i Rafał Krajewski. Skazani, przejeżdżając, znaczyli krzyże nad głowami w osłupieniu stojących w pojazdach rodziny. Ciszę przerywał tylko turkot wózków, które ginęły wśród tłumów.

Tłumy te, od czasu do czasu, niby łan zboża wiatrem poruszany, zwracały się, oczekując, jak mówiono później w domu, posła z Zamku z wieścią o ułaskawieniu skazanych.

Tłum zwracał się próżno. Milczał.

Aż nastąpiła jakaś straszna chwila. Wszyscy jak gdyby skamieniali, zamarli.

... naraz, olbrzymi jęk, płacz, krzyk wydarł się ze zbiorowej piersi tłumów, miesząc się jednocześnie z groźnym bębnowym grzechotem i z moskiewskich trąb granicem.

Oto, w tej właśnie chwili, po założeniu własną ręką stryczka na szyję, w dniu 5. sierpnia 1864 roku, zawisł na szubienicy pierwszy z członków ostatniego Rządu Narodowego, skazanych na śmierć przez powieszenie, przybyłych wózkami na plac egzekucji z Dziesiątego Pawilonu Cytadeli warszawskiej.

Oczywiście, wówczas, mając lat sześć, ani wyrazu „skazaniec”, ani „egzekucja”, ani „szubienica” — nie rozumiałam. Ale odczułam głęboko tą właśnie chwilę skojarzenia płaczu i krzyku rozpacz, z hałasem muzyki, bo, chowając głowę w fałdy sukna, stojącej w powozie matki, wolałam: „Mamusiu, czemu oni grają, kiedy ludzie płaczą!”

Matka Józefa Toczyskiego, podczas całej egzekucji, leżała krzyżem przed Pana Ołtarzem w kościele na Zakroczymskiej. Obok niej klęczeli dwaj kapucyni. A kiedy, prowadzona przez córki, pp. Wandę Heniszową i Teofilę Krzyżanowską, wyszła na próg świątyni, cały zgromadzony lud padł przed nią — na kolana.

W tej samej zapewne chwili siostry Rafała Krajewskiego, u stóp szubienicy, na której zawisło jego ciało, poprzysięgły sobie, czego dotrzymały, do końca dni prowadzić konspiracyjną robotę dla obrony polskiej sprawy.

L. Kotarbińska

Z panteonu sztuki narodowej

# Stanisław Wyspiański



„DOBROCZYNNOSC”  
Witraz Wyspiańskiego

Warszawa, we wrześniu.

Geniusz Wyspiańskiego był potężnym akordem przerywającym długotrwały sen letargiczny polskiego narodu w przededniu ostatecznej walki o odzyskanie niepodległości. Stanął na przelomie dwóch epok — jedną kończył, drugą zaczynał. Kończył nie wahając się przed jaskrawym oświetleniem faktów „smutnej pamięci” zaczął jasnym prokretwem.

Przybyszewski określa Wyspiańskiego jako: „Jakiś niepomiernie bogaty chłopię z królewskiego rodu. Pogrobowiec — ostatni z Piastów: jakaś zablakana dusza ostatniego z Piastów obrała sobie za siedzibę wątłe i delikatne ciało, które miało przed oczyma współczesności wyczarować urok i dziwy rzeczy dawną zapomnianych, rozelnić je oślepiającym blaskiem, niesłychanego bogactwa i piękności”.

Przedziwny i nieznanym nikomu miał klucz Wyspiański od skarbców sezamu, w których jest miejsce jedynie dla piękna.

Dla piękna, którego nie można zrozumieć, którego nie można zamknąć w żadnej regule ani teorii, bo Wyspiański wiecznie z teoriami popadał w konflikty. Jego ornamentacja i system dekoracyjny jest nie do przyjęcia przez historyków sztuki, teoretyków i pedagogów. Jego systemu nikt nie kontynuuje. A przecież jego system — wszystkich zachwyca i w podziw wprowadza!

Jedyny bodajże twórca wykształcony w szkole realistów wśród ścisłych reguł, który potrafił się od nich całkowicie oderwać, wyzwolić ze wszystkich wpływów i stworzyć własną sztukę bez żadnej teorii. Toteż jego sztuki zrozumieć nie można, można ją jedynie odczuć, miarą uczucia mierzyć jej wielkość.

Symbolikę, problem tak trudny w plastycznych rozwiązaniach, widzimy u Wyspiańskiego już w dzieciństwie. Będąc w klasie trzeciej wykonywał jako zadanie szkolne „szopkę”. Jakże ją dziwnie

zrobił: oto zamek wawelski, w którym spoczywa Dzieciątko Jezus, pokryty jest słomą.

Na zapytanie nauczycieli, dlaczego tak właśnie zbudował szopkę, mały Staś odpowiada, że w czasie swej pracy myślał tak: „Pan Jezus narodził się i dla nas Polaków, a że był królem, więc Go umieściłem w polskim zamku królewskim. A że narodził się w ubóstwie, więc dałem dach słomiany”. Oto jakie małe dziecko miało symboliczne koncepcje, które po latach pracy przeistoczyły się w potężne wizje witraży „Boga Ojca”, „Kazimierza Wielkiego” i „Św. Stanisława”, od których bije jakaś niepojęta groza a zarazem monarcha majestatem.

Ale symbolika Wyspiańskiego — to pojęcie zawsze rozumowo wytłumaczone, to nie abstrakcja niezrozumiała.

Weźmy za przykład fragment z jego teatralnej dekoracji. Komponując oprawę do „Lili” Chodźki, Wyspiański komponuje zakończenie I aktu w ten sposób: po morderstwie męża, gdy zabójczyni śpiewa: „Rośnij kwiecie wysoko, jak mały leży głęboko” zamiast opadania kurtyny — porzynają od dołu wyrastać lilie coraz wyżej i gęściej, aż zupełnie zasłaniają scenę.

Jeśli już wspominałem o dekoracji teatralnej Wyspiańskiego to trzeba dodać i o tym, iż był on jedynym na świecie dramaturgiem, który równocześnie pracował literacko i plastycznie. Przed wszystkim jednak był malarzem i dekoratorem, każdą sztukę sceniczną poczynał opracowywać od rozwiązania problemu samej sceny jako przestrzeni, na której rozegra się akcja literacka. Ustawienie mebli, rozmieszczenie i charakterystyka zewnętrzna aktorów oraz innych akcesoriów równocześnie z opisem były opracowane. Stąd trudność wystawienia sztuk Wyspiańskiego, gdyż w nich zmienić nic nie można — jeden był tylko projekt, jedna koncepcja, każdy najmniejszy szczegół należy do akcji. Wszystko gra, nie więc ująć nie można, nie zmienić, bo się całość rozleci, nie dodać, bo się wypaczy sens. Idealnie skomponowana całość.

## Władysław Syrokomla

— „Liro ty moja śpiewna,  
Z czarodziejskiego drewna,  
Ludzie łzami mię poją!  
Tyś dla mnie ulga Boża,  
A gdy mnie w grób położą —  
Ty będziesz chluba moją...  
...Pójdiesz z kraju do kraju...  
Do samego Dunaju,  
Do samego Kijowa...”

Nowogródek, we wrześniu

W roku bieżącym upływa 75 lat od śmierci znakomitego poety Ludwika Kondratowicza, znanego pod pseudonimem Władysława Syrokomla. Według opinii Kraszewskiego był on w poezji najszej „typem swojego kraju, jego obyczaju, poczciwością”. Stąd u Syrokomla ta miłość do ziemi ojczystej, ja to uważa za najgodniejszy temat w swej poezji i pracy dziennikarskiej, obok wielkiej miłości ku ludziom, której zasadą, że człowiek dla człowieka winien być bratem. To ukochanie ziemi i ludzi wykuła w jego duszy — młodość.

Pierwsze lata dzieciństwa spędził poeta w dworcu szlacheckim nad Niemnem, gdzie, prócz rodzinnego patriotyzmu, wszczepiano w duszę dziecka prawdość bezwzględna. Przyszłe jego „Redde quod debes” — oddaj coś winien — przez usta widma Dębora rzucone, to wierzenie głębokie spod strzechy rodzicielskiego domu wyniesione.

Pierwsze nauki pobierał Syrokomla w Nieświeżu i Nowogródku, potem pracował w zarządzie dóbr Radziwiłłów w Nieświeżu. Tu, mając dostęp do książek, pochłaniał je i dzięki nim rozmawiał się w przeszłości, biorąc stąd niejednemu pomysł do swych utworów. Następnie kilkuletni pobyt w Zalużu zespolił go silnie z przyrodą i z ludem, co musiało na wrażliwej duszy poety wycisnąć niezatarte piętno. Tu już powstały jego pierwsze poezje jak „Pocztylion”, jak znany tak dobrze „Urodzony Jan Dębora” ponadto liczne „zawędy i ry-



## W 30-lecie śmierci

Z dziedziny plastyki moc pozostało po Wyspiańskim pamiątek w kraju i za granicą. Szczególnie wiele w Puryżu, gdzie przez szereg lat zapoznawał się ze społeczną sztuką europejską.

Spośród wszystkich jednak rodzajów jego twórczości najcenniejsze są witraże i portrety dziecięce. Wielkich obrazów Wyspiański nie malował poza jednym tylko p. t. „Skarby Sezamu”. Wielkich rozmiarów są jedne witraże. Ulubioną techniką były pastele, a motywem — kwiaty.

Pochodząc z ludu, czuł głęboko piękno przyrody i jak nikt umiał je zrozumieć i malować. Latami całymi studiował kwiaty w najdrobniejszych szczegółach, rozkładał je anatomicznie na części i stosował później jako ornamentację w swych dekoracyjnych kompozycjach.

W dzieciach szukał wyrazu, toteż jego główki dziecięce są pełne uduchowania, są to jakieś naziemskie postacie z innego jakby świata. Do tych portretów pozowały mu zresztą jego własne dzieci, niewątpliwie więc i to jest przyczyną głębi uczucia w tych portretach zawartych.

Okres, w którym żył i tworzył Stanisław Wyspiański, był okresem niepomyślnym dla sztuki. Jego prace literackie ulegały ciągłym konfiskatom, miały wielu tandetnych, lecz tanich konkurentów, złe warunki materialne dopełniały reszty. Miał jednak to szczęście, iż walczyło o prymat jego sztuki grono bliskich i życzliwych przyjaciół, którzy widzieli w nim geniusza. Tak więc zostały stworzone warunki moralne dla jego pracy, a bogata spuścizna pieczołowicie zachowana.

Powiedziałem na wstępie, iż Wyspiański kończył jedną epokę a zaczynał drugą. Otóż bezprzeznacznie jedną epokę zakończył, na drugą tylko rzucił snop jasnego światła, rozświetlającego wśród mroków niewoli drogi, wiodące ku Polsce zmarłych wychwałęj, drogi torowane potęgą uczuć, wśród których miłość dla piękna stawiał Wyspiański najwyżej. A pięknem najwyższej miary była dla niego — Sprawa Polska.

Stefan Rassalski

## lirnik wioskowy



Portret Wł. Syrokomli

ny ulotne”. Jakiś czas przebywał poeta w Wilnie, poczem przeniósł się do Borejkowszczyzny, gdzie ciężko musiał borykać się z losem. Pomimo wielkiego rozczarowania, jakie mu życie przyniosło, powstało jeszcze wiele pięknych rzeczy jak np. „Kęs chleba”, „Garść pszenna”, „Margier” i wiele innych.

Syrokomla próbował wykorzystać swój talent i na innym polu. Nie będąc dramaturgiem, rozumiał wielkie znaczenie sceny i jej wpływ na masę. Toteż sam pisał dramaty jak „Chatka w lesie”, czy „Córka Piastów” lub komuż nie znany „Janko Cmentarnik”, chcąc jakby zapłacić lukę w naszym piśmiennictwie i wzbogacić repertuar sceny ojczy-

stej. Nawet w dziennikarstwie próbował swych sił. Zwłaszcza jego felicytony okazały się nieźrównane pod względem prostoty i oryginalności stylu.

Ulubionym jednak rodzajem utworów poetyckich Syrokomli były gawędy. Z tych najlepiej mu się udawały opowieści, osnute na żywej tradycji lub przygodach z własnego życia. Szlachecką gawędą o jego młodości jest wspomniany już „Urodzony Jan Dębioróg”. Brak żywszej akcji zastępuje tu uczucie pełne serdecznego tonu. We wszystkich utworach poety brzmi wjelkie współczucie autora dla upośledzonych przez los wieśniaków i skrzywdzonej szlachty zagrodowej. A ponad wszystko z utworów jego przebijają przywiązanie do rodzinnej ziemi oblanej Niemnem, Wilią i Horyniem. „Jam szczęśliwy, bogaty, gdy od chaty do chaty przechodzę całe siolo,” woła ten pieśniarz wioskowy, pragnąc, by jego piosenki brzmiały pod każdą strzechą wioskową.

Poeta — rolnik, spojony „świętym węzłem z rodzinną przyrodą, przeszłością i duszą współbraci” rozkochany w swym krajobrazie — nigdyby nie zamienił „swych łąk i lasów na błonia auzońskie, gdzie lasy mirtowe”. Dzięki temu przywiązaniu do własnej ziemi, najłatwiej trafiał do serc czy czytelników.

I dziś, obchodząc jubileusz poety, przyznać musimy mu to podwójne znaczenie. Wdzięki swej swojskiej, z głębi serca płynącej, pieśni dał świadectwo żywotności ducha polskiego, ponadto zaś, stojąc na granicy dwóch światów, szlacheckiego i chłopskiego, umiał w swych prostych wierszach podjąć nowe hasła pełne sympatii dla ludu. Dzięki temu zdobył Syrokomla miano lirnika wioskowego. Sam zresztą poeta nie uważa siebie za wieszczą, poprzestaje na stanowisku „grajka”. Lirą swą się szczyci: „liró tyś promień mej głowy, wszak ja, lirnik wioskowy, skonom, grając na liżę”. Skonał, wierny swej lirze do końca swego przedwcześnie zgasłego żywota.

I. Z.

## ...Od Boga przysiany

## Kornel Ujejski

We wrześniu minęło czterdziestolecie śmierci Kornela Ujejskiego, autora „Skarg Jeremiasza”, „Pieśni Salomonowych”, „Maratonu”. Pięknym pomnikiem twórczości poety jest znany chorał „Z dymem pożarów”. O oddźwięku chorału i roli poety, leczącego pieśnią straszne rozdarcie narodu, pisze, na tle wspomnień osobistych, autorka artykułu, który zamieszczamy poniżej.

Gwaro, ciasno było w umajonej, jasno oświetlonej sali ratuszowej, we Lwowie w dniu 18. października 1893 r.

Lwów w imieniu całej Polski święcił jubileusz swego Jeremiego, poety Kornela Ujejskiego, w 70 rocznicę jego urodzin.

Nie sposób w krótkim tu wspomnieniu wymienić licznych przemówień, ani też adresów, dyplomów z najdalszych stron ojczystej ziemi.

Ale na szczególną wzmiankę zasługuje adres dziękczynny od włościan z powiatu, przysłany za inicjatywą znanego włościanina, Jakuba Bojki, ówczesnego wójta z Gręboszowa\*).

W adresie tym, który w całości przytaczam — zaopatrzoną podpisami kilkudziesięciu włościan, lud polski dziękuje umiłowanemu poecie za „Chorał” — który tak przemówił do zboliałych serc chłopskich i napełnił je wdzięcznością dla poety:

Adres ów brzmiał:

— „Wielmożny Panie Poeto!

Dziś, gdy cały naród polski składa Ci życzenia i hołdy, jako swemu prorokowi, i my, wieśniacy polscy z powiatu dąbrowskiego, czujemy wielką potrzebę złożyć Tobie swoje serdeczne życzenia i hołd dziękczynny, jaki Ci się od lat 47 od włościan galicyjskich należy. Nasi Ojcowie, nie świadomi, idąc za szatańskim poduszaniem chytrego wroga, wroga, który z nieporozumienia, jakie się skutkiem fatalnych stosunków wytworzyło między dworem a gminą, zapragnął plon dla siebie zebrać, — porwali za domowy „ślepy miecz” i ugodzili nim w łono brata.

Nic dziwnego, że na czyn tak straszny cala

\*) Znakomity działacz i pisarz chłopski, poseł do Sejmu krajowego w latach przedwojennych 1895—1914 we Lwowie i poseł do parlamentu wiedeńskiego 1897—1918; w Polsce wyzwolonej, poseł i wicemarszałek Sejmu 1919—1930, Senator i wicemarszałek Senatu 1930—1935. W tym roku obchodził 80 rocznicę swych urodzin.

Polska zapłakała, a nie rozważywszy, kto tu w tej sprawie był rzeczywistym winowajcą, całą winę zwałił na nieszczęśliwego chłopca i wzywała pomsty u Pana Boga na niego!

Ty jednak, prawdziwie od Boga przysłany Polsce w tak smutnej chwili, płacząc nad poległą swą bracią, broniłeś chłopów przed opinią rodaków, śpiewając: „Oni niewinni, choć naszą przyszłość cofnęli wstecz; inni oprawcy byli tam czynni...” i kazałeś prosić Boga, by „karal rękę, nie ślepy miecz”.

Za ten sąd czynu naszych ojców, którego Polska nie знаła przed tym, przyjmij zacyj Rodaku — Piewco, serdeczną od nas podziękę.

Niech Ci Bóg dozwoli dożyć czasu, kiedy się okaże niesłychany cud, kiedy Polskę oswobodzi, a przez to zmaże winy ojców, dzielny polski lud, Gręboszów, dnia 12. września 1893 r.”

Mimo smutnych kolej życia, jakie przechodził poeta, i w rodzinie i w Ojczyźnie, mimo smutnych nad wyraz jego poezji, — miłość ziemi ojczystej i ludu wiejskiego, była tą dźwignią, jaka wraz z głęboką religijnością nakazywała mu patrzeć z nadzieją w przyszłość i nie upadać pod obuchem ciężkich doświadczeń.

Od lat dziecińczych, zbratany z ludem wiejskim na rodzinnym Podolu, — w ostatnich latach życia znajduje znów ukojenie i szczerze zadowolenie w obcowaniu z nim, w Pawłowie, w cichej wiosce syna swego, w powiecie radziechowskim. Tu budzi w ludzi i w otoczeniu swoim świadomym patriotyzm, krzepi lud i całe sąsiedztwo głęboką wiarą i pogodną ufnością. Urządza odczyty i pogadanki z gospodarzami wsi, funduje różne pamiątkowe krzyże i kapliczki, na koniec otacza miejscowy cmentarz wiejskim murem i bramą z napisem „Spoczną i wstaną”.

W Pawłowie dokonał też życia: w dniu 19. września 1897 r. zamknęły się na wieki te oczy — które przez całe życie patrzyły w dal — w wymarzoną przyszłość Ojczyzny.

W pogrzebie, który się odbył w dniu 21. września 1897 r., wzięły udział tysiące ludności z całego powiatu, jak też delegacje stowarzyszeń, które przybyły ze Lwowa.

Spoczął i — wstanie...

Anna Augustynowiczowa

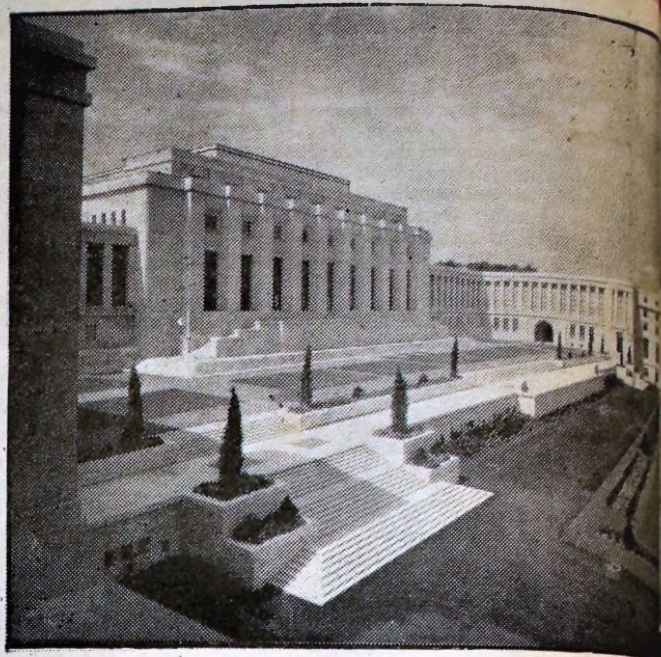


„MACIERZYŃSTWO”  
Witraż Wyspiańskiego

# Świat na migawki



Prezydent Łotwy Dr. K. Ulanis wręcza puchar zwycięskiej drużynie piłkarskiej RFK.



Ugólny widok na nowy gmach, w którym mieści się Ministerstwo Spraw Zagranicznych



Marszałek Smigły - Rydz dekoruje szefa Sztabu Generalnego Łotwy gen. Hartmanisa wstęgą orderu „Polonia Restituta“



Woroszyłow, ludowy komisarz obrony ZSRR, przyjmuje defiladę wojsk czerwonych po jesiennych manewrach na Białorusi Sowieckiej

## Sergiusz Piasecki Trzech nieo

Było ich czterech: silnych, młodych, zdrowych, wręczących życiem i energią. Siedzieli wokół stołu, paląc papierosy.

— Więc cóż to za tak „ważna sprawa“? — zapytał Zabawa, patrząc kolejno w uroczyste twarze przyjaciół.

— Mów ty, Kostek — rzekł Czesław. — Ty najlepiej to powiesz, bo ja nie tego... Wiesz sam: nie umiem językiem mleć.

— Tak, niech Kostek mówi — rzekł Otek. — To mój projekt, więc nie chcę abyś myślał, że mnie specjalnie na tym zależy.

Konstanty siedział zamysłony... Przeglądał dłonią włosy nad wysokim czołem i spozrywał na przyjaciela.

— Dobrze, — rzekł, — dobrze... Sprawa, Romanie, taka: chcemy wracać do Mińska. Po co mamy się tulać po obcych kątach? Zostawiliśmy tam rodziców, znajomych... zostawiliśmy tam połowę naszych serc! Ty zostawiłeś ojca... Żyjemy tu, a myślą zawsze jesteśmy tam wśród swoich. My zbrodni przeciw Sowietaom nie popełnili — chyba tylko służba w obecnej armii, lecz to się tłumaczy tym, że wstąpiliśmy do wojska w czasie okupacji. Przyjdziemy do Czeki, przedstawimy dokumenty i oświadczymy, że chcemy żyć i uczeiwać pracować w Sowietach, w swoim mieście, jako lojalni obywatele. Mogą nas narazie aresztować, lecz nie może to mieć poważniejszych skutków, bo gdybyśmy nawet na froncie trafili do nie-

woli, bylibyśmy zniszczeni. Zresztą, mówiliśmy, mamy krewnych, w tym Białorusini, którzy, bez rządami się zanieb: czy chcecie?

Roman był ciekawy. — Jak to?

— Chłopaki, co tam się dzieje, ale nie warto zrywać... —

— Kłębmy poszedźmy... Pójdźmy, a jeden niech będzie rezultatem, czy pomyslnie się zgłosi, a ja inaczej... —

— Ja mówię, powiedział Otek. — Nie, Romanie, jeśli tak, to my być w zupie, to mieć na uwagę, stawimy, będą jednym. My liści lub kontr do domu, do góry, żadnych zbrodni politycznych. —

— Czekaj, twarcie... Czekaj, długo rozmawia, według umów, nie i czekać, a dy również ist. —

Sprawę zapamiętaj. —

Gdy byli, taki projekt

\* Wyjątek z drugiej książki Sergiusza Piaseckiego p. t. „Piąty etap“, napisanej — podobnie jak pierwsza — w więzieniu świątokrzyskim. Patrz artykuł p. t. „Więzien sławnym pisarzem“ w Nr. 39 (145) „Naszego Życia“.



Przebieg granicznych R. P. plk. Beck po przybyciu na dworzec Północny. Z prawej od min. Becka — Delbos, minister Spraw Francji, oraz poseł R. P. w Paryżu — Łukasiewicz.

Na prawo u góry — Angielska delegacja na odbytą konferencję Ligi Narodów z ministrem Eden'em w środku.

## ...cnych i nieusprawiedliwionych

...ko jeńcami, a nie wię-  
...zby nas nawet aresz-  
...żność, przy pomocy  
...się o poręczyciel-  
...Białoruś, i my, jako  
...prawo wrócić do oj-  
...u na to, pod jakimi  
...e... Otóż, pytamy cie-  
...żeć do tej imprezy?  
...iony:

...mu oddać się im w rę-  
...tam byłem! Ja wiem,  
...Owszem... ja się zgo-  
...sposób. Po co tak ry-  
...tobą, Kostku, do pier-  
...z wami też... Ale nie  
...ronia... Ukryjemy się,  
...awi... Zobaczymy jaki  
...li wszystko się skoń-  
...jednego, to i reszta  
...złe, poradzimy sobie

...że on się nie zgodzi —

...— rzekł Czesław, —  
...dziemy sami. My chcę-  
...m porządku. Trzeba i  
...że z trzema, gdy się  
...zej się liczyli niżli z  
...tam burzuje, kapita-  
...lucyjniści... Wracamy  
...nie mając na sumieniu  
...ni kryminalnych, ani  
...jdziemy szczerze, o-  
...amy się bać?  
...li przyjaciele... Zaba-  
...miał pozostać w Wil-  
...wiadomości, a wte-  
...nich, do Mińska...

...odchmieleni, ktoś dał

— Wiecie co, chłopaki? Niewiadomo co się nam przydarzy w życiu. Wyznaczymy sobie spotkanie na przyszłość po dłuższym okresie czasu. Ja coś takiego czytałem... Jakby to było ładnie! Co?... Jeden jest w Wilnie, jeden w Mińsku, jeden w Moskwie, ostatni jeszcze tam gdzieś, i w umówionym czasie się zbieramy!

Projekt zgodnie przyjęli i Konstanty napisał protokół:

Wilno, dn. 19. maja 1921 r.

„My, niżej podpisani, zobowiązujemy się, bez względu na odległość i okoliczności życiowe, stawić się na umówione „spotkanie przyjaciół” w dn. 1. września 1922, o godz. 9 wieczorem, w Mińsku, w ogrodzie Gubernatorskim nad brzegiem Świsłoczy, naprzeciwko letniego teatru „Rene-sans.”

Niestawiennictwo mogą usprawiedliwić tylko: śmierć, ciężka choroba lub więzienie. Inne powody będą uznane za wycofanie się ze Związku Czterech Przyjaciół.”

Nazajutrz Zabawa pożegnał ich na dworcu wileńskim...

Gdy pociąg ruszał, ucałował przyjaciół i uściskał po raz ostatni ich dłonie.

— Bądź zdrow! Wkrótce się zobaczymy! — rzekł Olek.

— Czekaj listu z Mińska! — powiedział Czesław.

— Nie martw się, Romek! Ucz się, pracuj!... Wszędzie żyć można! — rzucił mu, już w biegu pociągu, Kostek.

— Szczęśliwie! Szczęśliwie! Piszcie!... — krzychał do nich Zabawa.

Długo czekał listu, ale nie dopychał

się go nigdy. Zamiast listu otrzymał po dwóch miesiącach wiadomość, że trzech jego przyjaciół zostali rozstrzelani w Mińsku, dokąd przybyli, sami oddając się w ręce władz... Zostali rozstrzelani jako „kontrewolucjoniści”, którzy zjawili się na terytorium R. S. F. B. R. w celu organizowania „białogwardyjskich band”.

— „Tak, zrobili jać się podlecę na ich krwi karierę służbową” — pomyślał Zabawa, pominając sobie słowa znajomego Białorusina, który, zawiadamiając go o rozstrzelaniu przyjaciół, powiedział: — „Tam, gdzie Moskał rządzi, krew Białorusina jest tańsza od wody!”.

Wieczór był ciemny. Wiatr pędził po ulicach, rwał okiennice, łamał płoty, krążył w powietrzu i rzucał w twarze przechodniów mokre, zimne liście.



Mussolini i Hitler na dworcu w Berlinie

Zabawa przelał przez płot do ogrodu państwa Soliczów, bo furka na dziedzińcu była zamknięta. (Nie chciał wchodzić niespodzianie przez drzwi frontowe).

Na dziedzińcu stanął naprzeciw oświetlonych okien kuchni; reszta domu była pogrążona w ciemnościach.

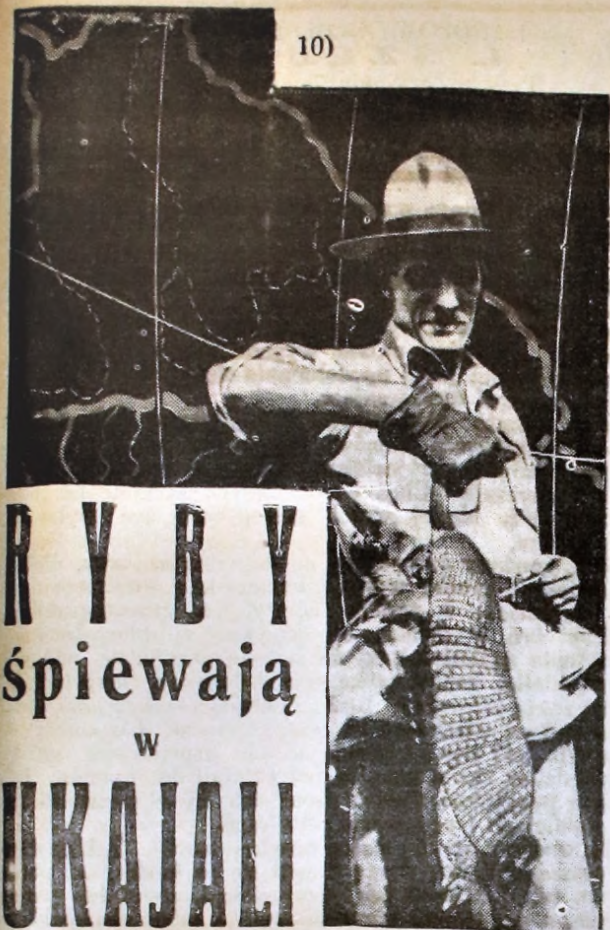
— „Może ktoś wyjdzie” — myślał Zabawa.

Było mu bardzo smutno. Ileż to razy, kiedyś w tym domu, za życia Kostka, urządzano wesole zabawy, na których się zbierało tyle młodzieży!.. Teraz nie mógł zgadnąć co się dzieje za tymi ścianami. Tylko przecucie mówiło mu, że nie dobiegło.

Ktoś wszedł do kuchni i stanął przy oknie.



10)



A  
r  
k  
a  
d  
y  
  
F  
i  
e  
d  
l  
e  
r

nała, że odróżniasz syk pary, wychodzącej z wentylów. Nie wiesz, kto wywołuje te odgłosy i zdumiony starasz się przedrzeć wzrokiem zieloną dzicz dokola. Najbliższa kolej żelazna oddalona jest o dwa tysiące kilometrów.

Powalone przez burzę drzewo leży w drodze. Wstępujesz na nie i wpadasz po pas w próchnicę. Wybiegają długie skolopendry, niebezpieczne i jadowite bestie. Nagle na skolopendry rzucają się mrówki - olbrzymy, przeszło dwucentymetrowe insule i wszczynają się przy twoim boku zażarta walka. Uciekaj, bo w ferworze bójki owady mogą się rzucić na ciebie: od skolopendry zachorujesz na kilka tygodni, a od ukłucia insuli masz pewnych pięć dni gorączki.

Uciekając, płaczesz się w kolezastym gąszczu i padasz na ziemię.

Uroczy, błyszczący motyl morpho przelatuje nad tobą jak olbrzymi szmaragd.

Bagnista, czarna woda do przebycia, jedna z miliona tałamp amazońskich, długa ale wąska na kilka metrów. Czy głęboka i czy nie będzie tam jakiejś żmii lub drętwy, która cię zelektryzuje i narazi na utonięcie w kałuży? Przechodzisz ostrożnie. Bogu dzięki, nie było, tylko kilka pijawek przyklepiło się do kamasy. Strącasz je i ostatnie spojrzenie rzucaś na przybytą tałampę. Truchlejesz! W czarnej, nieprzejrzystej wodzie kotłuje się tajemniczo i złowrogo. Jakiś potwór węszył twoje ślady. Chwytną najbliższą gałąź i wspinasz się na brzeg.

Biedaku, nie trzeba było chwytac gałęzi. Na twojej dłoni powstają piekące pęcherzyki, a nim zajdziesz do domu, spuchnie ci ręka i będzie swędziła jak piekło.

Piekło czy raj, gorący kocioł bujności, wścieklej rozrodzności, szalu życia, gdzie kocha się ponad miarę i pożera doszczętnie, pożera i kocha. Wychodzisz z puszczy zmieszany, znużony nadmiarem wrażeń i przeżyć, przytłoczony wrogą obecnością. (A w głębi słychać wciąż jeszcze dziwne, wabiące głosy rzadkich ptaków, które chciałeś upolować).

Wśród zabójczych moczarów i złej zieleni roślinie nad brzegami Ukajali czarowny, czerwony kwiat. Tybuley nazywają go situli. Ma dwa szeregi wielkich jak dłoń ludzka kielichów, o kształcie splaszczonych sere, koloru szkarłatnego tak intensywnego i żywego, że serca zdają się promienieć w mrokach puszczy. Na widok tej zjawy przystaniesz olśniony i, zatopiony w ekstazie, zrozumiesz, że warto było przyjeżdżać na ten koniec świata, by spojrzeć na kwiat situli.

Często patrzę na kwiat situli i dotykam jego mięsistych kwiatów.

### INDIANIE, POGARDZAJĄCY BIAŁYMI LUDŹMI I MALPAMI

My, biała rasa, jesteśmy dumni z tego, że podbiliśmy cały świat wyższą inteligencją, silniejszym charakterem i sprawniejszą organizacją. Ze stworzyliśmy mądre systemy filozofii i dalekośnośne karabiny. Co prawda: oddajemy wersalski pokłon filozofii indyjskich braminów i kultury chińskiej, ale na pokłonnie się kończy. Indie są „perłą” korony angielskiej, a chińczyków niemniej łupimy.

Zupełnie inaczej przedstawia się sprawa, gdy biały człowiek przybędzie nad rzekę Ukajali, gdzie mieszka szereg indian czamów. Ci poczciwi pożeracze ryb ukajalskich mają o inteligencji białego człowieka jak najgorsze pojęcie, w ich mniemaniu rasa biała jest upośledzona, a biały człowiek to niedolega.

— Czemu uważasz, że jestem głupszy niż ty? — pyta półnagiemu czamę urażony w swej dumie biały człowiek.

— Powodów jest tak wiele, jak ryb w rzece. Na przykład nie umiesz porządnie wiosłować! — odpowiada Indianin.

— To prawda, że nie wiosłuję tak jak ty, ale za to umiem budować parowce! — odejma się biały.

Czama śmieje się pogardliwie:

— Powiedz, jak często przyjeżdżają tu parowce?

— Mniej więcej raz na miesiąc.

— Widzisz, a wiosłować musisz trzy razy na dzień. Więcej powiedz, co tu ważniejsze?

Tak, w puszczy ważniejsze jest wiosło.

I Indianin zawija się szczerliwie w swoją kuźmę, rodzaj worka narzuczonego na ciało, jako że komary ukajalskie tną niemiłosiernie. Kuźmę utkała mu z bawełny przed dwudziestu laty jego żona i od tego czasu nosi czama tę odzież bezustannie, nigdy jej nie piorąc. Bo po co? Kuźma była kiedyś biała, dziś jest brudna i szara. Za pięć lat, gdy jeszcze bardziej się zbrudzi, nie wypiorą jej, lecz wsadzą do wywaru z kory machoniowej i pofarbuja na ciemno-brązowy kolor. Taką kuźmę będzie mógł Indianin nosić do końca życia bez prania. Jak widać, kwestia czystości i zapachu to bardzo względna rzecz.

W puszczy rosną właściwie dwa lasy: jeden na ziemi, to drzewa i zbity gąszcz krzewów, bambusów i zielsk; drugi las rośnie nad ziemią, na drzewach i krzewach, to narodziła czyli epifyty.

One właśnie są elementem najbardziej egzotycznym w puszczy: wielka ich ilość, groteskowy kształt i fantastycznie piękny nieraz kwiat stanowią nieprzparty urok. Wśród nich barwne orchidee pokrywają, bywa, całe pnie: bromelie, ananasowce, wyrastają z gałęzi jak bajeczne, wielkie rozety; niesamowicie zwisają kędziory bród Absalona.

Liany! Drzewa puszczy chciały widocznie poszaleć i ktoś związał je w liny, zasieki i okratowania z lian. Sznury wiążą się po ziemi, wspinają na pnie, przeskakują z gałęzi na gałąź drugiego drzewa, zesuują się na ziemię, giną w gąszczu. Nie sposób zbadać ich początek i koniec. Girlandy i festony z bajki czekają na przyjęcie jakiegos królewicza. Z sędziwego drzewa kumala zwisa kilkadziesiąt lian niby zerwane, potargane nerwy olbrzyma, aż przykróść udziela się nerwom człowieka, na to patrzącego. Inne zdradzieckie liany zanikną pnie w tak silne kleszcze.

Puszcza amazońska to kraina lian. Niektóre są cienkie jak nici, inne dochodzą do grubości ciała ludzkiego. Człowiek co krok potyka się o nie i ociera... Drzewa po pewnym czasie giną w tych śmiertelnych objęciach, a na ich trupie rozrasta się lian pęk i później sam się przemienia w drzewo-figowea.

Cheesz zdobyć, śmiały człowieku, do swego zbioru kilka ptaków, których osobliwy głos rozlega się w głębi puszczy? Bierz zatem strzelbę i nóż-maczetę, tnij i wchodź. Zważaj na drzewo, z którego zranionej kory sączą się krople białej żywicy. Jedna kropla do oczu pozbawi cię wzroku na zawsze.

Coś groźnie zaszeleściło na ziemi i ucieka. Wąż? Nie, to wielka jaszczurka.

Palma - paciuba rozstawia w piramidę swe dziwaczne, nadziemne korzenie, uzbrojone w długie kolce. Ukłucie tymi kółkami sprawia bolesne rany, nie gojące się przez tygodnie.

Z jakiejś rośliny uderzają wonie, przyprowadzające nagle o ból głowy i chęć womitowania. Po chwili mija przykry zapach i głowa przestaje boleć.

W pobliżu płacze kilkoro dzieci. Najprawdziwszy płacz zawodzących, głodnych bachorów. To prawdopodobnie głos zab.

Z daleka słychać zbliżający się pociąg. Złuda jest tak dosko-

Przebywając nad górnym Ukajali, żyłem z czamami w istalaj stycznej. Poznałem wielu z nich i niektóre ich zwyczaję. Jest to szczerp wyłącznie rybacki, trzyma się tylko nad środkowym i górnym Ukajali, nie ma go ani w głębi lasów ani nad mniejszymi dopływami. W lasach polują indianie kampanowie, wojownicy, napastliwy ludek i w obawie przed nimi czamowie uciekają się pod opiekę białych. Czamowie nie są wojownikami i nie lubią walk.

Głównym rysem ich charakteru w stosunku do białych jest naiwna chytrność. Czama oddaje się białemu hacjenderowi w niewolę pańszczyźnianą, będącą w zwyczaju nad Ukajali, za co biały zobowiązany jest ubierać go, dawać mu narzędzia i broń we wszystkich wypadkach, sam za to stosunkowo mało otrzymując. Albowiem czama nie lubi pracować i więcej niż dwa dni nie wytrzyma przy pracy. Ponieważ czerwony jego kolor wszystko tłumaczy sobie na swój sposób; uważa prawdopodobnie białego hacjendera za pewnego rodzaju swego żołnierza, który bierze na siebie wszystkie przykrości i kłopoty życia, ażeby zapewnić czamie spokojny i szczęśliwy żywot.

Czamowie są niskiej i krępej postawy o zaokrąglonych kształtach. Rysy twarzy podobne do naszych chłopskich z mongolską domieszką. Nie mają tak ładnych kobiet jak ich wrogowie kampowie. Żywią się wyłącznie rybami i bananami, które przygotowują na różne sposoby. Tak zwana „patarszka”, ryba pieczona w liściu pewnej palmy, jest przysmakiem także dla podniebienia europejczyka. O każdej porze dnia konsumują w niemożliwie wielkich ilościach ciapu, rodzaj zupy z rozgniecionych ręką, gotowanych bananów. Przepadają za wódką, lecz gdy jej nie mają, piją masatu, sfermentowaną jukę, którą kobiety przeżuwały poprzednio w ustach.

Ryby i banany służą im widocznie wybornie, bo czamowie prawie nie znają żadnych chorób i są bezustannie w najlepszym humorze. To ich uderzające znamię: zawsze się śmieją, nawet wtedy, gdy przydarzy im się jakie nieszczęście. Na białego człowieka czyni to zrazu dziwne wrażenie i jak na warjata patrzy na Indianina, śmiejącego się dlatego, że rozciął sobie boleśnie rękę. Aż do Ukajali sięgały kiedyś wpływy inków i prawdopodobnie ci mistrze panowania wpoili taki rodzaj śmiechu swoim podwładnym niewolnikom. Zresztą obojętne, jakie są tego przyczyny, dość, że nie widziałem przez kilka miesięcy żadnego czamy w złym humorze. Czama to wesoły Indianin.

Chociaż czama żyje wśród białych ludzi i jest im wiernym przyjacielem, umiał odgraniczyć się chińskim murem od wpływu ich kultury i cywilizacji. Dlatego szczerp nie ginie, przeciwnie, czamów jest coraz więcej. Niema wśród nich chorób wenerycznych.

Czamowie przyjęli chrześcijaństwo, lecz tylko pozornie. Pozostali wierni obrządkom pogańskim a o Bogu mają niejasne pojęcie. „Ludzie bez Boga”, to tytuł jedynej, zdaje się, monografii o czamach pióra wybitnego ich znawcy, Teesmana. Jakkolwiek umieją liczyć (był kuraka czyli wódz, który liczył do 10.000), nie znają się wcale na pieniądzach. (A może nie chcą się znać). Nie znają ich wartości ani wogóle wartości rzeczy, natomiast znają wartość kaprysu i tym się kierują, szczęśliwcy. Bywa, gdy spodoba im się nóż sąsiada, dadzą mu za nóż swoją ekspotę i j. indjańska strzelbę, 20 razy więcej wartą. Czamowie nie potrzebują walczyć o byt. Ryb jest pełno w rzece a bananów pęki nad brzegiem; więc wolno im żyć kaprysem dziecka i nastrojem chwili.

Spośród innych szczerpów wybijają się nietylko pogodnym usposobieniem, lecz także wybitnymi zdolnościami artystycznymi. Przeważnie posiadają je kobiety. Kobiety lepia z gliny misterne garnki najróżniejszych form i potem ozdabiają je niezmiernie charakterystycznymi malowidłami. Polegają one na czerwonych i ciemnobronzowych kreskach, łamanych pod prostym kątem i ołożonych na płaszczyźnie w jakąś tajemniczą, o swoistym systemie, szachownicę. Kreski przypominają do pewnego stopnia rysunki geometryczne, rzadko kiedy przedstawiają stylizowane zwierzęta. Ponieważ wszyscy czamowie używają prawie dokładnie tych samych ornamentacji, łatwo poddać się przypuszczeniu, że rysunki te mają jakieś głębsze znaczenie i są może oddźwiękiem zagubionego pisma, podobnego do egipskich hieroglifów. Tymi samymi rysunkami, co garnki, ozdabiają czamowie swe kuźny, które noszą na sobie.

Żyją w jednożeństwie; jako żony przydziela im się 7- lub 8-letnie dziewczyny, które przyszli mężowie sobie wychowują i z chwilą dojścia do dojrzałości biorą w posiadanie. Czamowie to napewno najbardziej zazdrośni małżonkowie w świecie. Ci znawcy kobiet nie spuszczaają z żon oka, a gdy wypadła im gdziekolwiek wędrować, zawsze zabierają je ze sobą.

Czamowie twierdzą, że małpy można co prawda jeść, lecz niedobrze się składa, gdy ludzie są podobni do małp i mają

HANDLOWY DOM OBUWIA

L. SZCZUKO

Przy ul. Szkiuniu 7. Tel. 21534.

Proponuje największy wybór odpowiednio dobranego OBUWIA.

Przyjmuje zamówienia.

Sumienne wykonanie.

okrągłe głowy. Dlatego noworodkom zakładają z przodu i z tyłu głowy deszczułki, splaszczające po kilku miesiącach czaszkę. Taka zdeformowana głowa stanowi później dumę ich właściciela i zwiększa samopoczucie człowieczeństwa. Włosy na ciele, z wyjątkiem głowy, również przypominają zbytnio małpę, więc skrzętnie wyrusza się je wszędzie, pod pachami i gdzie indziej. Albowiem unikać wypadła zarówno skojarzenia się z białymi ludźmi jak i upodobnienia się do małp. Jedno i drugie jest narówni upokarzające.

Nielatwo a może niemożliwe jest białemu człowiekowi wnikać w umysłowość czamów. Czamowie chowają swoje myśli przed białymi przyjaciółmi. Chowają również swoje wierzenia i obyczaje. Chcą wśród białych żyć, ale nie chcą się z nimi bratać. Mądry, wesoły szczerp chce żyć wyłącznie własnym życiem.

Jeżeli ci, znudzony europejczyku, zbrzydzą kryzysy, giełdy, afery Stawiskich, groźby wojen i komorników, dokużać nie-dobrzy przyjaciele i rozbite nerwy, to prawdopodobnie zapragniesz żyć z daleka od krzyku, w błogosławionej ciszy, na łonie najbujniejszej na świecie przyrody, pod palmami, nad wielką, bogatą rzeką, wśród dobrych, cichych ludzi, którzy nie znają pieniędzy. Będziesz chciał razem z nimi śmiać się jak dziecko i wiosłować na rzece, rzucić harpunem do wielkich ryb, jeść ciapu i podziwiać ich prymitywną sztukę. Słowem, będziesz chciał przyjść nad Ukajali do czamów i z wezbrany przyjaźnią sercem prosić ich, by ci pozwolili żyć pod ich namiotami i przyjaźnić się z nimi.

Wtedy, niestety, spotka ciebie przykry zawód. Zakłopotany kuraka czamaki będzie długo drapał się po karku, a potem poradzi ci, żebyś zamiast ich przyjacielem, został ich panem i patronem, a oni twoimi niewolnikami. I żebyś zbudował sobie wielką, osobną chałupę.

## KOLIBRY

Dolores jest córką Eutinia Arechaga, zbieracza kauczuku balaty, mego sąsiada o kilometr. Dolores ma dwanaście lat, jasno brązową cerę, wilgotne usta i śmiałe oczy, a pod jej karkiem przeją się zuchwale dojrzejące kształty kobiece.

Pewnego dnia rano przybiega do mnie Dolores i wola:

— Senior, niech senior przyjdzie do nas. Koło naszej chaty zbiegło się wiele ptaszków.

Biorę strzelbę i idę za Dolores.

Arechago wyciął dokoła swej chałupy las. Rosną tam teraz pod bokiem drzew bujne krzewy, a wśród nich niebieskie, wspaniałe kwiaty: passiflory. Mnóstwo ich właśnie kwitnie, istniejąca mleczna droga błękitnych gwiazd.

Do tych pięknych kwiatów przylatują bajeczne ptaki, kolibry. Trrrrr, słycać energiczny warkot, niby odległego samolotu i znieznacka, zaledwie o dwa kroki przed nami, w porwie wietrze, jak wryty, zatrzymuje się ptak nie ptak, właściwie szmaragd, który nagle zmienia się w błyszczący rubin, a potem w lśniące złoto. W następnej chwili znika nam z oczu, coś w błyskawicznym locie mignie i burknie, a w oka mgnieniu kolibr sterczy już o trzydzieści kroków dalej przed nowym kwiatem passiflory, zanurzając do kielicha długi, ostry dzióbek.

Trrrrr, przelatuje w tej chwili tuż blisko nas drugi kolibr, a potem trzeci i czwarty; unoszą się nad najbliższymi kwiatami i znikają; trzy inne przecinają głośno powietrze, potem naraz widzimy w koło siebie kilka nowych barwnych lotników. Patrząc z bijącym sercem na to czarowne widowisko, uświadamiam sobie, że oto przed naszymi oczyma rozwija się jakas niezwykła tajemnica, fenomen natury: żywiołowy zlot kolibrów do niebieskich kwiatów passiflory.

Kolibry! Jeżeli bujna przyroda Ameryki stworzyła liczną cudą piękności, to kolibry bezsprzecznie zaliczyć należy do jej najszczytniejszych arcydzieł.

Wszyscy podróżnicy, prawie bez wyjątku, z zachwytem opisują głębokie i radosne wrażenie, doznane na widok tych najmniejszych na świecie ptaszków. Wiele z nich jest mniejszych niż osy lub przeważna część motyli. Uderza nietylko ich olśniewająca szata, upierzenie o jaskrawometalicznym połysku błyszczącym jak czarodziejska zjawa. Kolibry to uosobienie wdzięku, zawrotnej szybkości, niezmiernego polotu, zadziwiającej zwinności, czupurności i zuchwalstwa.

# AMANGARA KOLUMNĄ MŁODYCH

A. P.

## GŁOS KRWI

JESIENNE ROZWAŻANIA

Ryga, w październiku

Jesień... Przyszła jak co roku, jako niewzruszone i mocne prawo natury, brzemienne w owoce pracy wiosennej. Przyniosła ze sobą zadowolenie spełnionego czynu — bogaty plon wysiłków tajemniczej idei ciągłości życia. Jest przestroga przed długim okresem zimowego wypoczynku, do którego nie można przejść od razu — trzeba się uprzednio przygotować. Toteż szykuje się natura do zasłużonego snu na długie miesiące.

Stąpam wolno przez piękny park miejski, jeszcze zielony, ale już pełen rudawoczerwonych plamek. Pod nogi upadł mi liść, taki zwiedły... Może to niespełniona czyjaś nadzieja, co, jak niepotrzebna już nikomu rzecz, idzie w zapomnienie?... Ale nie!

Spadł, bo spełnił swe wielkie zadanie: w zbiorowym wysiłku dał życie bujnemu drzewu, a teraz, żółty i suchy, ale nasycony energią słoneczną, odpada po to, aby znów dać komuś innemu życie, aby utoną swą energią oddać nowej sile twórczej. Nowe, młode tętno życia uderzy na wiosnę za przyczyną tego liścia. Tak jest w naturze...

Dla człowieka jesień też ma coś w zapasie. Do serc ludzkich wnosi dziwne i niewytłumaczone uczucia smutku. To niby tęsknota za pięknym dniem słonecznym, za czymś niespełnionym, za czymś, co minęło za nim ujrzało piękno dnia... Przed czymś nieznanym. W ludzkich oczach gaśnie blask radości, co świecił na wiosnę. Do serca puka uczucie samotności, tej samotności, której człowiek najbardziej się boi, przed którą szuka ucieczki. Byłe gdzie. Na ulicę, do kina, teatru, kawiarni. Na wsi rodzina się skupia na wspólnych i długich wieczorach, a te bliskie, znajome twarze są tak mile! To jest rodzina najbliższa. Ale jest jeszcze jedna rodzina, znacznie większa, a tak samo bliska — rodzina związana wspólnotą pochodzenia i języka. I do niej musimy pójść.

Jeżeli natura może sobie pozwolić na odpoczynek, to nie może tego uczynić człowiek. Na długi sen zimowy nie może sobie pozwolić, bo by się obudził wiosną wypierzony przez innych: spóźnił by się o dużo miesięcy. Człowieka znaczy praca i to praca zbiorowa, bo tylko taka wzbogaca ludzkość i daje zadowolenie spełnionego czynu. Mamy świetlice Związkowe, do których uczęszczamy i powinniśmy uczęszczać. Tu ujdziemy chandrze jesiennej, tu pracować będziemy przez długą zimę. W swej wielkiej rodzinie, w bliskim sobie gronie, będziemy się mogli pobawić, pomówić, poczytać i posłuchać. Posłuchać o sobie, o swej bogatej kulturze. Zycząc wśród obcych, dużo widzimy i słyszymy o nich, podlegając nierazko i wpływowi obcej myśli: to swoje staje się jakby dalekie i nieistniejące. Jest to

grzech przed samym sobą. Jesteśmy narodem, który nierazko wywołał błysk zdziwienia i szacunku w oczach obcych. Jesteśmy bogaci w zasoby zarówno na polu kultury i cywilizacji, jak też i w innych dziedzinach. I te czyny narodu swego musimy poznać dokładnie, abyśmy mogli przy sposobności wskazać je innym. Umożliwił nam to poznanie długie zimowe wieczory i potulne świetlice. Wykorzystajmy tę sposobność wszyscy, którzy chcemy, aby wiedziano o nas, aby nas szanowano, aby nas brano pod uwagę, jako jednostkę pełną i wartościową. Człowiek i naród ceniony może być tylko wtedy, kiedy przedstawia pewną wartość moralną, a tą może mieć tylko wówczas, jeżeli jest **samym sobą**. Zdecydowanie sobą! Materiał miękki, podatny może być dobry tylko na czas — nigdy na zawsze. Jest jedno wielkie prawo natury: **krew ma swój głos**. I głupi jest ten, kto głosu krwi nie usłucha, kto go chce zagłuszyć. Wcześniej czy później głos ten odezwie się z podwójną siłą i zażąda swych praw, pogwałconych niegdyś lekkomyślnie. Nie możemy uciec przed sobą. Dobrze robią ci, co idą do swoich świetlic, a nie tulają się gdzieś po obcych. Te swoje świetlice trzeba szanować, trzeba je kochać, bo są naszą własnością, należą do nas wszystkich.

Smutek i wstyd ogarnia każdego, kto przeczyta np. takie notatki w „**Naszym Życiu**“ jak „Co to? Gdzie to? albo jeszcze jaskrawsze „**Spostrzeżenia**“ A. S. „**Nasze Życie**“ Nr. 35). Gdzie leży przyczyna tych zjawisk? Czy w tych win-

nych? I tak i nie. Jest ona we wszystkich. I w tych, na których się z powodu takiego postępowania krzywimy, i w tych, którzy krytykują. Nie znaczy to iżbym miał stać się oskarżycielem jednych i drugich, wrogiem krytyki, siebie wynosząc poza nawias. Bylbym w najwyższym stopniu nielogicznym. Tak samo należą do winnych. Po prostu jest to stwierdzenie faktów.

Te głosy w prasie, obrazujące nasze życie takim jakim ono jest — bez pięknych osłon reporterskich — cieszyć muszą każdego, komu na sercu leży poprawa stanu istniejącego. Więcej takich głosów, więcej takich obrazków i wstydu, a może się poprawimy. Przeczytajmy te obrazki z życia wspólnie na wieczorach świetlicowych i pomyślmy głośno nad nimi. Nie żadne gazetki żywe, które z góry się przyjmuje, jako dowcip i rozrywkę, ale właśnie te wycinki z prasy skutecznie mogą podziałać. Trudno jest znaleźć drogę do nieociosanej i nieujarzmionej jeszcze rygorami dyscypliny społecznej młodej duszy. Ale jest stara prawda, że bez trudów nie ma plonu. Trzeba znaleźć drogi i sposoby na tych niesfornych i niespokojnych i na tych „znachorów od języków obcych“, sposoby nie wykluczające żadnego ze środków aż do „odchwaszczenia“ włącznie. Nie ilość, a jakość stanowi o wartości społeczeństwa. Nie zaszkodzi w niektórych wypadkach nawet egoizm, bowiem dobro ogółu i dobro przyszłości wyklucza z kręgu spraw ogólnych interes jednostki, interes chwili.

A. P.

### Refleksje

## MGŁA...

Z nastaniem jesieni jakże miły jest każdy dzień słoneczny, dzień mówiący o lecie, które tak niedawno minęło. Było dopiero co — i zupełnie nieoczekiwanie znikło, zabierając ze sobą ciepłe pogodne ranki i gwiazdzone wieczory, a zostawiając mgły.

Wrząz z mgłami nachodzi na człowieka dawna szara tęsknota i smutek otwiera duszę. Przeczucie jesieni. Niedługo powiedną już wszystkie kwiaty i niemily mróz zwarzy każdą radość i każdy uśmiech.

Nie trzeba o tym myśleć. Jest złota jesień z ostatnią słoneczną pieszczołą. A w tej pieszczoście czuć jeszcze lato, ciepło, radość. I można uciec na chwilę od jesieni — do lata. Czai się ono w lasach zielonych wciąż jeszcze i świeżych, w miękkiej, jakby wczoraj wyrosłej, trawie. Cudownie jest w lesie. Oczy poją się zielonością drzew, a z wysoka przygrzewa słońce.

Zaś w alei na mojej ulicy opadają już liście. Żółte, zwiedle, tragiczne — szeleszczą jak co roku swą smutną historię. Opadłe liście.

Tak niedawno przecież nad pusańskim jeziorem był księżycowy, jasny, ciepły wieczór. Na wodzie kładły się cienie i coś tam szeptały o tajemnicach sierpniowej nocy.

Pusza. Jakie mile wrażenie zostawiła w ostatnie dni lata ze swą gościnnością, ze swoim kiermażem, z kościółem drewnianym na górze i nieopodal leżącym cmentarzem.

A miejscowy poeta, co wlaź z takim namaszczaniem na scenę, żeby przed ludźmi rozsypać swe

perły? Wzruszenie rosło w nim do zenitu, zapierało dech, a wokół siedziało pokiermaszowe towarzystwo — podchmielone, wesole, krotochwilne.

Farsa czy tragedia?

Poeta, który swoje utwory ceni na równi ze skarbami świata, przyniósł oto garść tych skarbów i ze wzruszeniem (bo czuł jak wiele daje) — otworzył drżącą dłoń. Wyleciały, zalsniły, otarły się o obojętnych słuchaczy. I potem nie zostało po nich nic — tylko ogromne wzruszenie poety i jakby uchwytny łomot serca, które się wyzwoleń pragnęło.

To było jeszcze lato. A i teraz, gdy jest jesień, nie brak wrażeń.

Dostarczyło ich nie mało IV-te Święto Sportu latgalskiego. Pogoda względnie dopisała. Wspomniało to było święto, do czego nie mało przyczynił się entuzjazm widzów, wśród których dominowała ucząca się młodzież.

Wrzaski i wybuchy radości przebiłyby chyba mury, a już wybraniec cieszący się sympatią tego ludku — choćby nie wiem jak nie mógł — musiał być pierwszym.

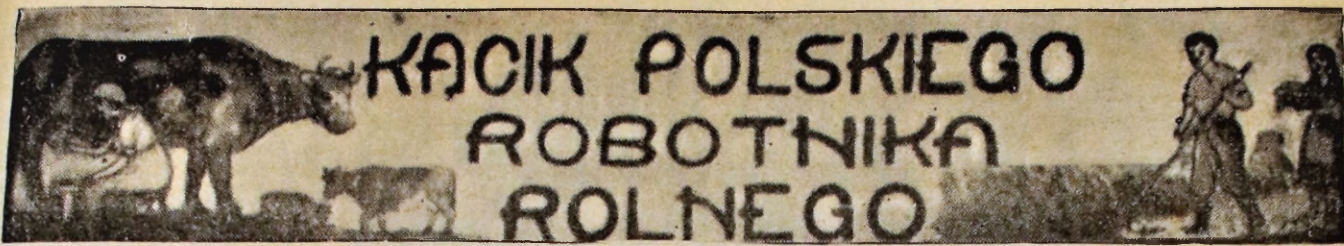
Co wrzawy i dzielenia się wrażeniami. Jak też to wszystko nie pochrypiło.

I patrzeć było na co. Ciekawe były finisze biegów i skoków, bardzo mile popisy rosyjskich „Sokołów“, udane jak zwykle. Popisali się zręcznością harcerze w ćwiczeniach na koniu, w biegu wykonując różne lapanie.

(Dokończenie na str. 16)







Komunikat Konsulatu R. P. w Rydze № 9

## Jak trzeba oszczędzać

W czasie ostatnio odbytych podróży inspekcyjnych okazało się, że wielu robotników polskich, pracujących w Łotwie, chciałoby odkładać swe oszczędności na książeczkę w „Pocztowej kasie oszczędności” w Polsce, lecz nie wiedzą weale, jak się do tego zabrać.

W związku z tym Konsulat R. P. w Rydze wyjaśnia wszystkim zainteresowanym tą sprawą co następuje:

1. Chcąc założyć sobie własną oszczędnościową książeczkę emigracyjną w „Pocztowej Kasie Oszczędności” w Warszawie, trzeba postąpić tak, jak przy zwykłym przekazywaniu gotówki do Polski, to jest: udać się z kontraktem i paszportem do swego Biura Pracy (darba birojs) i tam kazać sobie wypełnić przekaz koloru niebieskiego. Na przekazie tym jednak, zamiast (na drugiej stronie w rubryce „nauda nosutama”) podawać adres tej osoby, która w Polsce ma otrzymać gotówkę, należy poprosić kierownika Biura Pracy o wypisanie czytelnym piśmie:

P. K. O. — Warszawa — Wydział Wkładów Oszczędnościowych.

Wówczas Łotewska Izba Rolnicza prześle pieniądze pod tym adresem. Z chwilą kiedy pieniądze wpłyną do P. K. O. (t. j. Pocztowej Kasy Oszczędności), to założy Wam ona na Wasze nazwisko tak zwaną emigracyjną książeczkę oszczędnościową, oprocentowaną i obliczaną w złotych w Łotwie, i prześle Wam o tym zawiadomienie z podaniem numeru Waszej książecz-

ki, potwierdzeniem odbioru pierwszej przesłanej kwoty i odpowiednim pouczeniem. Abyście mogli otrzymać to wszystko, trzeba podać Wasz dokładny adres w miejscu zamieszkania. Jeżeli więc zostajecie jeszcze w Łotwie, to trzeba na przekazie niebieskim podać Wasz adres w Łotwie, jeśli wracacie do Polski — należy wypisać na przekazie, niebieskim Wasz dokładny adres w Polsce.

2. Ci robotnicy, którzy będą już mieli założone emigracyjne książeczki oszczędnościowe na swoje nazwisko i znali jej numer, przy następnych przekazach gotówki do Kraju na książeczkę, muszą kazać sobie wypełnić w Biurze Pracy (darba birojs) w następujący sposób wspomnianą już rubrykę — „nauda nosutama”:

P. K. O. — Warszawa — Wydział Wkładów Oszczędnościowych

a pod spodem dopisać jeszcze swoje imię i nazwisko oraz podać dokładny numer swej książeczki oszczędnościowej.

Pocztowa Kasa Oszczędności, otrzymawszy dalszy przekaz, dopisze tę kwotę do poprzednio już złożonej i prześle

zawiadomienie o tym właścicielowi książeczki.

Korzyści płynące z tego rodzaju oszczędzania są jasne i znaczne, a mianowicie:

a) zamiast trzymać pieniądze w domu, w jakiejś skrzyni, być narażonym na kradzież, spalenie — ma się zupełnie bezpieczeństwo,

b) pieniądze składane na książeczkę oszczędnościową są oprocentowane i obliczane w złotych w Łotwie, to znaczy wszelkie ryzyko strat kursowych jest wyłączone,

c) składając na książeczkę nie ma się pokusy do lekkomyślnego wydawania pieniędzy, jak to jest gdy się je trzyma przy sobie,

d) w razie powrotu do Polski, można mieć uskładaną w ten sposób ładną sumkę potrzebną np. na posag, budowę chaty lub stodoły, kupno gruntu i. t. d.

Dlatego też wszyscy robotnicy powinni pamiętać o tym, że należy oszczędzać, a oszczędności swe składać na książeczki oszczędnościowe emigracyjne w Pocztowej Kasie Oszczędności. —

### Czytelnicy piszą

## Echa wizytacji robotników

... „Składamy serdeczne podziękowanie Panu Konsulowi i temu Panu, co Mu towarzyszył, za wizytę w dniu 18. sierpnia r. b., kiedyśmy pracowali w polu, za te słowa pociechy i życzenia pomyślności w naszej pracy i samotnym życiu na obczyźnie.

Te słowa umocniły nas na duchu i upewniły że, chociaż jesteśmy daleko od naszej kochanej ojczyzny — Polski, to jednak stale jesteśmy pod Jej opiekuńczymi skrzydłami i jeśli któremukolwiek dzieje się jakaś krzywda, to jesteśmy pewni obrony i pocieszenia.

Kiedyśmy później opowiedzieli o wizycie Pana Konsula swoim znajomym, robotnikom polskim, to wszyscy żalowali, że nie mogli widzieć Pana Konsula, bo niektórzy mieli dużo do opowiedzenia o swojej krzywdzie, osobliwie zaś chcieli prosić Pana Konsula, ażeby na przyszły rok w kontrakcie była wymieniona ilość godzin pracy, bo w obecnym kontrakcie stoi: „Czas pracy ma być ułożony według warunków miejscowych, obyczajów i zgodnie z mającą być wykonaną pracą”. Ten punkt oddaje w zupełną pańszczyźnianą zależność i wyzysk robotnika polskiego

w ręce czasami nieuczciwych i bezsumiennych gospodarzy i w interesie wszystkich robotników polskich musi być jakoś zmieniony.

Co zaś do gazety „Nasze życie”, to musimy zaznaczyć, że ażeby się stała więcej



Polscy robotnicy rolni z „Naszym Życiem”



Polscy robotnicy rolni z urzędnikiem Konsulatu R. P. w Rydze p. Janiszowskim (drugi od prawej)

Jan Chorośnicki

## Jak Bambura doszedł do majątku

poczytą wśród sezonowych robotników polskich, to musi być rozszerzony dział wiadomości z Polski i kącik robotnika sezonowego, a także wprowadzone lekcje języka lotewskiego, ażeby sezonowi robotnicy mogli prędzej przyswoić ten język, tak bezwarunkowo potrzebny dla żyjących w Lotwie.

Jeszcze uprzejmie prosimy Pana Konsula o przysłanie nam 4 sztuk fotografii, tego zdjęcia, co Pan Konsul sfotografował nas: 2 robotników i 2 robotnice w towarzystwie tego pana, co to był z Panem Konsulem, przy stogu zboża przy pracy, gdyż chcemy mieć trwałą pamiątkę wizyty Pana Konsula, ażeby móc pokazać swoim rodzicom i znajomym, gdy powrócimy do Polski, że nawet w cudzym kraju mieliśmy stałą opiekę Państwa Polskiego. Należność opłacimy.

Z głębokim uszanowaniem  
W imieniu: Freni Kurianowicz  
Anny Półtorak  
i swoim własnym —  
Alfons Maciusowicz

## Nasze porady i odpowiedzi

**Stanisław Rymowicz — Jelgawa.** Komunikujemy, że miejsce zamieszkania poszukiwanej przez Pana Anny Pietkiewiczówny nie jest nam znane. Natomiast dla A. Pietkiewicz wysyłamy pismo pod adresem: p. Sabile, p. k. Nr. 20.

**Stepuloński Aleksander — Kriewciems.** Zainteresowana osoba kiedyś otrzymywała gazetę na adres: pasts Amata, Kafnasnides m. Dziś jednak już nie prenumeruje pisma. Nadesłany materiał przy sposobności wykorzystamy. Dziękujemy za serdeczne pod naszym adresem słowa.

**S. P. — Werene.** Uzyskał Pan pozwolenie na wjazd do Łotwy tylko w celu pracy na roli. Nie może więc Pan tutaj czymś innym się zajmować. Zasadniczo sprawy te rozstrzyga Ministerstwo Spraw Wewnętrznych.

**Karol Krukowski — Launkalne.** Prenumeratę ma Pan opłaconą do 1. września. Natomiast porad udzielamy tylko naszym regularnie placącym prenumeratom w liczbie których dziś już Pan nie jest.

**Stefan Jarmuszewicz — Tinuži.** Prenumeratę ma Pan opłaconą do 1. listopada. Wysyłania gazety nie przerywaliśmy. Grafolog, to osoba, która na podstawie pisma określa charakter, zdolności itd. danej osoby, która coś napisała.

**M. Szezelkun — Ligatne.** Kasa pogrzebowa, to instytucja, która udziela za pomogi rodzinie na wypadek śmierci członka. Kopanie rowów należy także do czynności robotnika, o ile jest przeprowadzane w obrębie gospodarstwa, w którym robotnik pracuje.

### ROBOTNICZY, KTÓRZY OPLACILI PRENUMERATĘ:

W. Romańczuk — Muriani,  
Bazył Pietuch — Celasturi,  
Maria Parafianowicz — Liwberze,  
Tadeusz Chmura — Wilce,  
Anna Aleksinowa — Wircawa,  
Adolfina Rudak — Krape,  
Stanisław Kamiński — Kalnskola,  
Władysław Niekrasz — Lubani,  
Franciszek Protas — Vecogre.

Poniższy „obrazek z życia” rodzin polskich wychodźców w Brazylii lepiej od wszelkich wywodów oświetla warunki życia naszych Rodaków za Oceanem.

Gdzieś w Małopolsce przed laty żył Wojciech Brambura, właściciel półtora morga gruntu, koślawej chaty, mąż słynnej z pracowitości i wartkiej wymowy Jagnieszki i ojciec kilku nieletnich a wrzaskliwych dzieci.

Brambura chadzał na zarobek do dworu, do księdza, do Żyda. Jego żona prała, gotowała, sadyła i w wolne dni chodziła również na zarobek. Dzieci przybywało, lecz nie było z nimi kłopotu. Żywiło się to wszystko, czym Pan Bóg dał, starsze opiekowały się młodszymi.

Przy ciężkiej pracy, samozaparciu się, oszczędności, posuniętej do ostatnich granic, rodzina uciułała parę setek.

Poszedł ci raz mój Wojtek Brambura do karczmy, usłyszał o jakiejś Brazylii, o nieznannej Paranie, gdzie można otrzymać kupę gruntu za psie pieniądze i to na spłaty.

Począł sumować. Powstał zamiar i był dyskutowany z krzykiem i płaczem przez parę miesięcy.

„Poganiń” — takie miano otrzymał bowiem Wojtek w czasie owych rozpraw familijnych — postawił na swoim.

Po sprzedaniu ubogiej ojcowizny cała rodzina Bramburów wyruszyła w drogę do Brazylii na zdobycie bogactw i szczęścia.

Podróż przez „Ocejan”, pobyt w Rio, w Kurytybie, nie przyniósł żadnej nowości.

Bramburowie wyjechali w „interior” (w głąb stanu).

Zawieziono całą rodzinę do jakiejś szopy, skleconej w dziewiczym borze.

Parę dni chodził Wojtek z towarzyszami, szukając odpowiedniego miejsca i wybierając działkę. Nareszcie wybrał i na grzebiatach mulów wywiózł całą rodzinę jakąś górzystą ścieżką, wijącą się nad przepaściami, na nowe dziedzictwo.

W dziewiczym lesie nie było przewiewu i panował straszliwy upał. Wszystko przedstawiało się Bramburom inne, niż w kraju, tak, jakby spadli na księżyc. Drzewa zupełnie nieznanne, grube, wysokie piniory o szerokich szpilkach, wspinały cedry o cudnych kopolach, strzeliste palmy o lakierowanych pióropuszech liści, powykrzywiane dziwiliły i trowyły Wojtka i jego rodzinę.

Im dalej, gąszcz stawał się coraz straszniejszy i w końcu towarzyszący im mulat, Brambura i chłopcy musieli przetrząbać drogę długimi nożami, zwanymi „fakonanami”. Liany, cierniste gałęzie, ostre liście brazylijskiego bambusu, taquary rozdzierały odzież podróżnych.

Prawie już nocą mulat dostawił rodzinę Bramburów na miejsce, zwałił ich węzły pod rosochatym cedrem i, nie spoczywając, puścił się w powrotną drogę. Bramburowie zostali sami. Zmęczeni rzucili się na ziemię, okrywając się płachtami i zasnęli snem kamiennym. Nazajutrz zbudzili się w smutnym nastroju. Nazbierali chróstu i Jagnieszka zaczęła warzyć marne śniadanie, szlochając, w czym jej wtórowała cała rodzina.

Jeden Brambura wrzepił silnie kablakowate nogi w czerwony brazylijski grunt i, zmarszczywszy się groźnie, patrzył niby w natchnieniu przed siebie.

Placz w legowisku Bramburów wzmagal się coraz silniej, aż wybuchł nieludzkim rykiem chłopców, jazgliwym zawozeniem Jagnieszki i dyszkantem cieniutko wtórujących jej dziewcząt.

Brambura zmarszczył się jeszcze groźniej. Twardym głosem wodza zawolał: — Dostyc komedyj! Matka, dawać śniadanie! Józek i Maciek ze mną, do boru, do roboty! Wydobyc rydle i tu kopta dół, przykryje się tym ścierwem, brazylijską wierzbą, czy innym diabłem i tu będziewa nocowali. Ty wykopiesz rowek, coby woda odpływała. Nie ma czasu na płacze, roboty huk, aż się w rękach pali!

Ucichł płacz rodziny i rozpoczęło się szare pasmo dni roboczych polskiego kolonisty w Brazylii. Był to początek zdobywania pola, walka z borem. Wojtek, poważny i uroczy, jak arcykapłan, walił od świtu do nocy w ścianę boru szerokim toporem. Chłopaki, rozrastające się niby dęby na świeżym powietrzu, sekundowali mu dzielnie, tnąc fojsami podszycie. Zaciekli się i pracowali bez wytchnienia. Legł wielki smat lasu, tak że siasiedzi, kryjący się w innych częściach praboru, przychodzili od czasu do czasu, siadali na zwalonych pniach i, paląc ciego fajki, a spluwając gęsto, kiwali z uznaniem głową.

By wyżywić rodzinę, trzeba było pracować na drogach, wycinanych przez rząd kolonii i borze. Za zarobione pieniądze Brambura kupował worki maki słoniej, czarną fasolę, zwaną fizonem, wszystkie te zapasy taszczył cierpliwie w kilkugodzinnych pochodach z nowopowstałego miasteczka do swego trygłodykiego mieszkania, coraz bardziej przyminającego ludzką siedzibę.

Las powalony wysechł i był to uroczysty dzień, gdy podłożony ogień poczęł huczyć i buzować, pożerając chróst i kłody. Gdy ogień zagaśił, rzucano się do sadzenia. Motykami robiono dolki, w które rzucano po kilka ziarn kukurydzy.

Po kilku latach gospodarstwo Bramburów zdradzało zamożność. Dom, postawiony z desek, łupanych siekiera, został przykryty dachem z również łupanych gontów. Obok wznosiła się stajenka, w której dojono kilka krów. W mangueirze (ogrodzenie dla trzody) było kilka czarnych, jak noc podzwrotnikowa, świniaków, karmionych rzetelnie kukurydzą. Po podwórzu krzątały się kokosze, kurczaki, pisklęta, paty (kaczki berberyjskie) i przechadzał się dumnie wojowniczy kogut.

Lata płynęły za latami. Dom Bramburów zmienił się nie do poznania. Pięknie obielony, z niebieskim okiennicami, kryty czerwona dachówka, otoczony sułdrem pomarańczowym radował z daleka oczyma przybysza. Na wszystkie strony ciągnęły się pięknie okopane łany kukurydzy, batatów, ziemniaków i aipi, szumiały niwiah ryż i żyto, pszenica, owies i jęczmień. W zacisznym kącie na zboczu wznosiła się nica radowała oczy obfitością gron, a na wet na próbę założono chmielarnię.



# SPRAWY GOSPODARCZE



## Jeszcze o chorobach roślin

Wszelkie choroby, czy pewne objawy niedomagań, odzwierciedlają się u wszystkich istot żywych w mniej lub więcej wyrazisty sposób na ich wyglądzie zewnętrznym. Niekiedy objawy wywołane przez różne choroby są do siebie tak podobne, że trudno, bez przeprowadzenia gruntownej analizy śmiało postawić diagnozę wywołującej je choroby. Tak jest u ludzi, tak w świecie zwierząt, podobnie też i u roślin.

Mamy cały szereg objawów chorobowych u roślin, które dla lepszej przejrzystości ułożono w pewnej kolejności.

Najpospolitszym objawem chorobowym to zwiędnięcie, obejmujące albo całą roślinę lub też poszczególne jej części. Przyczyny powyższej dolegliwości szukać należy w niekorzystnych wpływach atmosferycznych, jak posucha lub mroz, w schorzeniach naczyń rośliny, w zgniliznie korzeni lub łodyg (czarna nóżka), a w końcu w uszkodzeniach korzeni przez szkodniki zwierzęce, np. pędraki.

Zmiana w zewnętrznym zabarwieniu rośliny może być spowodowana przez niekorzystne warunki w odżywianiu, które zaistnieć mogą przez brak jakiegoś składnika odżywczego w środowisku glebowym, przez opanowanie liści przez wesz liściową lub inne szkodniki zwierzęce, grzyby, wreszcie przez niesprzyjające warunki klimatyczne. Przy czym tutaj, jak i poprzednim wypadku, objawy choroby możemy zauważyć na całej roślinie, albo tylko na mniejszych partiach.

Objawy śmierci rośliny mogą się ujawnić w przedwczesnym obumarciu liści, kwiatów, czy owoców, wywołanymi posuchą lub silnym wystąpieniem szkodliwych owadów lub porażeniem grzybnia. Powodem może być też powolne gnicie korzeni lub pędów nadziemnych, zakażonych przez bakterie (czarna nóżka w ziemniaków) lub grzyby (fusariosa kłębów ziemniaczanych).

— Istny rejement! — wołał dumny i uradowany Wojciech.

Co się tyczy wesela Rozalki, to miało ono stanowczy wpływ na dalsze losy rodziny Bramburów. Starzy omówili dokładnie wszelkie warunki, ilość krów, byczków, świniaków, którymi każdy z nich obdarował młodą parę.

Już w wilię wesela poczęły się zjeżdżać wozy, którymi przybywali znajomowie i przyjaciele obu rodzin. Orszak wyjechał 56-ciu wozami, po bokach któ-

Ciekawym symptomem chorobowym u rośliny to zmiana formy zewnętrznej, która polega na tym, że roślina normalna albo karłowacieje zwykle, albo też nadzwyczaj silnie się rozwija. Przyczyną powstawania tych anormalności są zakłócenia w odżywianiu, spowodowane brakiem środków żywności, niekorzystne wpływy klimatyczne, lub infekcja zarazkami chorobowymi.

Do rzędu tych zniekształceń, obejmujących pewne tylko części rośliny, należą objawy wywołane tzw. chorobami wirusowymi. Jedne z nich jak „liściozwój” powodują składanie się poszczególnych listków, jak i całych liści ku górze, przy równoczesnym ich zasychaniu. Drugie jak „kędzierzawka” polegają na silnym skróceniu łodyg, skutkiem czego roślina karłowacieje, co odbija się na wysokości plonów.

Wreszcie mogą tutaj powstać nowotwory wywołane przez grzybnie, jak np. rak ziemniaczany, który na powierzchni bulwy tworzy duże nieraz narośla, będące ogniskami postępującego zepsucia. Na ten objaw chorobowy winno się zwrócić szczególną uwagę, gdyż jest to choroba bardzo groźna, postępująca u nas z zachodu na wschód, a która żadnymi środkami chemicznymi nie da się zwalczyć. Jedynym tutaj ratunkiem, w razie jej wystąpienia, jest sadzenie ziemniaków odpornych na raka. Bardzo pospolite są wszelkie zranienia, czy uszkodzenia roślin, lub ich owoców, przez myszy, robaki, oraz inne zwierzęce szkodniki. Duże spustoszenie wśród plantacji poczynić może silny wiatr lub gradobicie. W tym wypadku spotykamy się nie tylko z połamaniami, pogięciem i splątaniem nadziemnych pędów roślin, ale występuje tu ciekawe zjawisko zbielenia roślin, wywołane przedostaniem się powietrza do wnętrza zgięć i skaleczeń.

rych hasali młodzi i dorodni družbowie na dziarskich koniach. Na przodzie jechał wóz z muzyką, a na nim wodził rejsłynny skrzypek Jacenty Dżabik, sprowadzony aż gdzieś z Prudentopolis.

W miasteczku ślub odbył się w kościele z największą wspaniałością, tak, że wszyscy się dziwowali, a najczęściej zazdrości wzbudziła suknia panny młodej, jej welon i wianek z kwiatów pomarańczowych, misternie wykonanych z wosku.

Po krótkich tańcach w „hotelu” orszak wyjechał również buńczucznie i hucznie do osady Bramburów.

Tam wszystko odbyło się po bożemu i po ludzku. Był obiad, na którym podawano aż trzy zupy: rosół z kartoflami, rosół z makaronem i kapuśniak. Co się tyczy mięsa, kiszek, kielbas i kwaśnej kapusty, to wnoszono takie stopy na „porcynelowych” misach, że wszyscy nie mogli nachwalić się gościnnosci Bramburów.

(Dokończenie nastąpi)

Specjalnym rodzajem objawów jest porażenie rośliny pasożyta, który występuje tutaj jako główny sprawca choroby, czerpiąc z rośliny wszystkie konieczne do życia soki odżywcze. Wymienić tu możemy kariankę, która pasożytując na koniczynowatych żyje na zewnątrz, żywiciela wpuszczając do tkanek jedynie drobne wyrostki, t. zw. ssawki.

Praktycznego rolnika mało interesują same objawy choroby, raczej szuka on bezpośrednio ich przyczyn i stara się przez wybór odpowiednich środków zaradczych zapobiec wystąpieniu dużych nieraz szkód. Nie mniej jednak, w wypadku zauważenia jakichkolwiek podejrzanych objawów na plantacjach roślin uprawnych, winien każdy rolnik odnieść się, przesyłając równocześnie okaz chorej rośliny, do najbliższego agronoma, który zbada przyczynę choroby i poda sposoby jej zwalczania.

### PRZYGOTOWANIE KISZONEK NA ZIMĘ

Przed wszystkim trzeba zwrócić uwagę, że do kiszenia nadaje się tylko pasza zupełnie świeża, zabrana wprost za kosą, najlepiej z rosą, a nawet z deszczem. Następnie pasza, zawierająca dużo białka, a więc wszelkie koniczyny, seradela, przełot itp., zakiszają się trudniej, aniżeli te, które zawierają go mało (liście buraczane, koński ząb itp.). Kiszonka lepiej się udaje jeżeli pasze białkowe pomieszymy z wodnistymi. Zielonki zwiędnięte, zwłaszcza koniczynowe, seradelowe itp., na kiszonkę się nie nadają. Nie trzeba dodawać, że zielonki powinny być czyste, bez ziemi, a więc liście buraczane uprzednio starannie wymyte.

Przystępując do kiszenia należy wybrać miejsce, zabezpieczone przed dopływem wody deszczowej, deszczowej lub śniegowej, musi być więc cokolwiek wzniesione. Grunt trzeba wybrać nieprzepuszczalny, najlepiej gliniasty. Jeżeli posiadamy glebę wyłącznie piaszczystą to boki i dno dołu wykładamy tłustą gliną. Dół może być zrobiony i w gruncie piaszczystym bez gliny, ale część paszy może się zmarnować, ponieważ ziemia piaszczysta wyciągnie z paszy wodę, bez której kiszonka źle się udaje. Dół kopujemy na głębokość ok. 2 m., szerokości ok. 1 m. Rozmiary te można zmieniać w zależności od ilości paszy, do której dostosujemy i długość dołu.

Zaraz po skoszeniu rośliny, przeznaczonej na kiszonkę, zaczynamy ją składać w dole niezbyt grubymi warstwami, przy czym każdą warstwę starannie udeptujemy lub ubijamy drewnianym stoporem. Jest to bardzo ważna czynność, od której zależy głównie udanie się kiszonki. Wbijanie ma na celu możliwie zupełnie usunięcie powietrza, aby wytwarzał się kwas mlekowy. Jeżeli natomiast powietrze pozostanie, to wytwarza się kwas masłowy, kiszonka się zepsuje i zupełnie będzie niezdolna.

Po starannym ubiciu jednej warstwy, dajemy drugą, z którą postępujemy w sposób zupełnie podobny, tj. mocno ubijamy dla usunięcia powietrza. Po drugiej dajemy trzecią, czwartą itd., aż do wierzchu dołu. Kiedy dół jest wypełniony, zasypujemy go grubo ziemią, przy czym w ciągu kilkunastu dni zaglądamy codziennie dla przekorzenia się, czy w nasypanej ziemi nie tworzą się szpary, przez które powietrze mogłoby się dostać do kiszonki. Takie szpary trzeba natychmiast zasypać ziemią. Warstwa ziemi powinna być tak gruba, aby mroz do niej nie doszedł.

Zwykle kiszonka jest gotowa już po kilku tygodniach, ale w zimie nie dajemy jej, o ile mamy inne pasze soczyste, jak ziemniaki, buraki, brukiew itp. Dopiero po skarmieniu tych pasz dajemy kiszonkę. Postępujemy tak dlatego, że okopowe przechowują się krótko, kiszonka zaś może przechowywać się miesiące, aż do następnej jesieni. Dając kiszonkę wyjmujemy tylko tyle, ile potrzeba na jeden dzień, resztę zasypujemy znów ziemią.



Święta Urszula — perły roznęła  
Księżyc wiedział — nie powiedział,  
słońce wstało — pozbierało.

W październiku gospodar  
Siewy swoje kończą,  
Kiermasze odprawiają,  
W karczmie sporo tańca.

Gdy w październiku  
Liść z drzewa nie spada,  
Ostrą zimę zapowiada.

Gdy w październiku upały  
Będą w lutym  
Mrozy dokuczały.

Żołędzie pełne, białe,  
Przyszłe lato doskonałe.

Kiepski gospodarz,  
Który po Jadwidze  
W pole siać idzie.

W końcu października,  
Gdy często deszcz pada,  
Roczek się następny  
Dobrze zapowiada.

Św. Gawel przychodzi,  
Stawy spuszczać się godzi.

Na Szymona i Judy  
Ziemia od mrozu  
Stwardnieje do grudy.

W świętego Krystiana  
Kaźda szewczyzna pijana.

Na św. Emila  
Babskie lato się przesila.

Urszula, Kordula,  
Do pieca przytula.

Kiedy w św. Gawel ślota,  
Będzie w lecie dużo błota.

Jeśli październik  
Jest wietrzny i mroźny,  
To nie będzie za to  
Styczeń, luty groźny.

Dzień Urszuli jak,  
Cała zima tak.

## SZCZYPTA HUMORU

— Jak to się mogło stać, Kaziu, że ty, spokojny człowiek, upiłeś się tak, że cię doszczętnie okradziono?

— Byliśmy we czwórkę na obiedzie. Starzy koledzy szkolni, po tylu latach... Oczywiście kelner przyniósł flaszkę wódki, ale okazało się, że oni trzej przyjechali na kongres antialkoholowy...

Znany pisarz czeski Karol Capek był bardzo serdecznie zaprzyjaźniony z prezydentem Masarykiem. Pewnego razu został Capek w jakiejś sprawie wezwany do sądu jako świadek.

Pisarz stawiał się dopiero na trzecie wezwanie. — Świadek Capek — zawołał sędzia — dlaczego nie stawiał się pan na wezwanie za pierwszym i za drugim razem?

— Bawiłem na zamku Topolcianky, jako gość prezydenta Masaryka — usprawiedliwiał się Capek.

— Czy może pan na to twierdzenie podać jakiegos świadka?

— Ekszelencja Masaryk może osobiście potwierdzić...

— To nie wystarczy! — przerwał mu wytrawny biurokrata starej austriackiej szkoły. — Mnie potrzebne jest zaświadczenie żandarmerii...

— Dlaczego nie dałeś braciškowi jabłka?

— Dalem mu ziarnka ze środka. Może je sobie zasadić i będzie miał cały sad...

— Mamusiu, czy to nasze nowe dziecko przyniosły aniołki?

— Tak, kochanie...

— To pewnie aniołki chciały mieć spokój w niebie...

**Nauczyciel:** — Kto z was wie, jak się nazywa człowiek, który ciągle mówi, nie zwracając uwagi na zainteresowanie słuchaczy?

**Uczeń:** — Nauczyciel!

— Buduje pan nowy dom dla siebie, tak?

— Owszem. Czy pan słyszał, żeby kto budował stary dom?

Najbardziej rycerskim człowiekiem New Yorku jest sławny król jazzu, Whiteman, który waży 150 kg.

Tak przynajmniej twierdzi Charlie Chaplin.

— Dlaczego właśnie on? — zapytano wielkiego aktora.

— Dlatego, że jak wstanie w tramwaju, to ustępuje od razu miejsca dwom kobietom — odpowiedział Chaplin.

Ulubionym miejscem polowań cesarza austriackiego Franciszka Józefa była miejscowość Gödöllő na Węgrzech. Tamtejszym nadszniczym był niejaki Rajcic, wielki przyjaciel ludzi teatru. Pewnego razu w większym towarzystwie opowiedział następującą historyjkę o cesarzu:

— Nie raz cesarz bawił w Gödöllő, zawsze polował na dziki. Normalnie stawiało mu się jego składane krzeselko w pobliżu drzewa, obok którego zwierzyna codziennie przechodziła do wodo-

poju, o pewnej stałej godzinie. Uduyało się tak składnie, że Franciszek Józef bez większego wysiłku mógł zabić tę czy inną sztukę.

Zdarzyło się, że cesarz przyjechał po południu i tego samego dnia udał się na zasadzkę. Siedział sobie ze strzelbą, a ja stałem za nim w pogotowiu z drugą strzelbą.

Po pewnym czasie wyszedł stary odyniec ogromna sztuka, który dotąd przez lata wymigał się od śmierci. Cesarz był bardzo dobrym strzelcem, ale tym razem drgnęła mu widocznie ręka.

Sytuacja, jaka nastąpiła, rozegrała się w kilku sekundach i, chociaż minęło sporo lat, tego czasu mam to wszystko w oczach, jak gdyby odbyło się wczoraj:

Olbrzymi dzik kroczy sobie bokiem. Cesarz stoi, mierzy, strzela. Raniony dzik rzuca się, wraca, szuka wzrokiem przeciwnika i całym przedem rusza na nas... Z pyska wytryska mu krwawa piana, ogromne kły połyskują...

Podnoszę błyskawicznie dwururkę do oka. Strzelać — dzięki Bogu — umiałem zawsze... Wala z jednej lufy i niemal jednocześnie z drugiej. Odyniec biegnie jeszcze z rozmachem, akurat tyle kroków, by paść prawie u stóp cesarza. Wyciągam nóż i dla pewności przebijam serce bestii...

— A co cesarz na to?

— Cesarz obrócił się ku mnie wolno i powiedział:

— Chciałbym się dowiedzieć, kto tu się bawi w polowanie? Pan, czy ja?